

H HARLEQUIN[®]
TM

GORĄCY ROMANS[®]



KOCHANKOWIE
CZY WROGOWIE?

TRACY WOLFF

Tracy Wolff

Kochankowie czy wrogowie?

Tłumaczenie:
Adela Drakowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Isabella Moreno zamarła w połowie zdania, gdy w drzwiach sali wykładowej pojawił się nagle dyrektor GIA, Amerykańskiego Instytutu Gemmologii. Ale to nie obecność Harlana Petersa wytrąciła ją z rytmu, lecz widok stojącego przy nim ciemnowłosego mężczyzny. Poczowała strach w sercu oraz ciarki na kręgosłupie.

Zmusiła się do kontynuowania wykładu na temat cięcia i szlifowania szafirów, choć jej studentki zdążyły już się odwrócić, by sprawdzić, co rozproszyło panią profesor; w sali rozlegały się szepty i chichoty. Kim jest ów tajemniczy przystojniak?

Właściwie ona też nie wiedziała. Och, oczywiście go rozpoznała. Nie można zajmować się kamieniami szlachetnymi i nie znać Marca Duranda, właściciela drugiej co do wielkości firmy eksportującej diamenty i biżuterię w kraju. Jego przydługie czarne włosy, ciemnoniebieskie oczy oraz zagniewaną twarz upadłego anioła trudno było przeoczyć, a jeszcze trudniej zignorować. Ale iskrząca się pogarda w wyrazistych oczach oraz ironiczne wykrzywienie ust nie pasowały do wizerunku, który nosiła w pamięci.

Marc, którego znała, Marc, którego kiedyś kochała, zwykł patrzeć na nią z czułością. Z rozbawieniem. Z miłością. Przynajmniej do czasu, gdy wszystko się rozpadło. Ale nawet wtedy okazał pewne uczucia. Wściekłość, ból, rozczarowanie. Świadomość, że jest za te emocje odpowiedzialna, prawie ją wówczas zabiły.

Ale malujące się dziś na jego twarzy ironia, pogarda i chłód zmieniły go w kogoś nieznanego. Kogoś, kogo na pewno nie chciała znać.

Kiedyś łączyła ich namiętność tak wielka, że często zastanawiała się, ile czasu potrzeba, by się wypaliła. Dziś odpowiedź była jasna: sześć miesięcy, trzy tygodnie, cztery dni i kilka godzin. Nie o to chodzi, że liczyła. Ani też nie obwiniała go za spektakularny koniec ich związku. Prawdę mówiąc, nie mogła, ponieważ to ona ponosiła całkowitą winę.

Och, mógłby być miłszy. Wyrzucenie jej w środku nocy tak jak stała na ulice Nowego Jorku było doprawdy brutalnym posunięciem. Ale, trzeba przyznać, trochę na to zasłużyła. Nawet teraz zdarzało jej się cierpieć na bezsenność z powodu wyrzutów sumienia. Jak mogła zdradzić mężczyznę, którego tak bardzo kochała?

Na tym polegał problem. Znalazła się w pułapce między dwoma mężczyznami, których kochała, uwielbiała, dla których zrobiłaby wszystko. Wiedziała, że jej ojciec okradł Marca i mimo że próbowała go namówić, by zwrócił klejnoty, nie zdradziła Marcowi, kto jest złodziejem, aż jego firma stanęła na krawędzi bankructwa. A potem jeszcze pogorszyła sytuację, błagając, żeby nie wnosił oskarżenia przeciw jej ojcu, przyznając się, że gdy go poznała na gali, też planowała go okraść. Ale od razu, ledwie się do niego odezwała, a on spojrzał na nią tymi szalonymi niebieskimi oczami, odstąpiła od swoich zamierzeń.

Isabella instynktownie odganiała bolesne wspomnienia. Sześć lat temu utrata Marca ją zdruzgotała. Do diabła, nie dopuści do powtórki! Szczególnie teraz, gdy

prowadzi swoje pierwsze seminarium.

Nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że studenci z zainteresowaniem popatrują to na nią, to na Marca. Również dyrektor instytutu. Mimo upływu lat napięcie między nimi było dla wszystkich zauważalne. Zachodziła obawa, że zaraz coś się stanie.

Z wysiłkiem kontynuowała wykład o słynnych kamieniach szlachetnych. Gdy wspomniała o kradzieży „Jaja drozda”, jednego z najcenniejszych szafirów na świecie, robiła co w jej mocy, by nie patrzeć na nieoczekiwanego gościa.

Nie zdołała jednak się powstrzymać. Siła jego osobowości przyciągała niczym magnes. Zamarła, gdy utkwiał w niej wzrok ostry jak szlif najczystszy brylantu. Marc dobrze wiedział, co się stało z „Jajem drozda”.

- Przepraszam, że przeszkadzamy, doktor Moreno - odezwał się skonsternowany Harlan Peters. - Oprowadzam pana Duranda po kampusie. Zgodził się poprowadzić u nas zajęcia na temat produkcji diamentów. Chciałem go zapoznać z naszym obiektem. Proszę kontynuować wykład. Jest fascynujący.

Ale było już za późno. Studenci mamrotali coś z przejęciem. Nie ma się co dziwić. Nie co dzień zdarza się taka gratka, by mieć zajęcia z jednym z największych producentów i pośredników w handlu brylantami.

Do licha, to jej wykład! Musi opanować sytuację. Nie pozwoli, by Marc Durand ją zdominował.

Kiedyś wziął od niej wszystko, a prawdę mówiąc, sama mu wszystko oddała, ale ją odrzucił. Zasłużyła na to, ale i słono zapłaciła. To było sześć lat temu. Potem przeprowadziła się i zbudowała sobie nowe życie. Niech ją diabli, jeśli przez niego wszystko zaprzepaści!

W końcu zdołała przyciągnąć uwagę studentów, a Marc i Harlan dyskretnie opuścili salę.

Gdyby ktoś ją spytał, o czym mówiła przez ostatnie dwadzieścia minut, nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Jej myśli wędrowały gdzieś daleko, ku przeszłości, której gorzko żałowała, ale której nie mogła zmienić, oraz mężczyzny, który odwrócił bieg jej życia.

Wreszcie wykład dobiegł końca. Zazwyczaj pozostawała kilka minut dłużej, by studenci mogli zadać pytania, dziś jednak szybko zebrała książki oraz prace przyniesione przez uczniów i skierowała się do drzwi.

Zaparkowała na tylnym parkingu; gdyby udało jej się wymknąć bocznym wyjściem, mogłaby odjechać w pięć minut. Byłaby wreszcie sama, w swoim kabriolecie, na krętej drodze wzdłuż oceanu wiodącej do jej domu.

Niestety, nie dotarła do samochodu. Gdy pospiesznym krokiem przemierzała hol, czyjaś silna twarda ręka chwyciła ją za ramię. Nie musiała się odwracać, by go rozpoznać. Kolana się pod nią ugięły, a serce waliło nieprzytomnie; niemal czuła, jak uderza o żebra. Nie mogła uciec. I nie miała żadnej szansy na uporządkowanie myśli przed tą konfrontacją.

Właściwie nie była zaskoczona. W chwili gdy podniosła wzrok i zobaczyła Marca w sali wykładowej, wiedziała, że ponowne z nim spotkanie jest nieuchronne. Łudziła się nadzieją, że trochę je odsunie w czasie, aż zdoła nieco ochłonąć. Oczywiście miała na to całe sześć lat. A skoro jej się to nie udało, dodatkowych kilka dni jej nie

zbawi.

Trudno. Jeśli Marc zamierza zniszczyć jej nowe uczciwe życie, niczego to nie zmieni, jeśli dowie się o tym teraz. Martwienie się w niczym nie poprawi sytuacji.

Zebrała się w sobie i przybierając pokerowy wyraz twarzy, z ociąganiem odwróciła się do niego.

Była jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał. I zapewne bardziej fałszywa, przypomniał sobie, opanowując gwałtownie wzbierające emocje i pożądanie.

Minęło sześć lat... Sześć lat, od kiedy ją przytulał, całował, kochał się z nią.

Sześć lat, odkąd wyrzucił ją na bruk ze swojego mieszkania i życia.

Ale nadal jej pożałował.

Prawdziwy szok, zważywszy, że robił wszystko, by o niej zapomnieć. Oczywiście, co jakiś czas jej twarz jawiła mu się przed oczami. Coś przypominało mu jej zapach, smak, dotyk. Ale w miarę upływu lat te przebłyski zdarzały się coraz rzadziej, a jego reakcja na nie słabła. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Wystarczyło jednak, że przez okienko w drzwiach do sali wykładowej zobaczył te wspaniałe rude włosy i ciepłe brązowe oczy, by znów poczuł pożądanie. Nie obchodził go dyrektor instytutu, nie obchodziła przyszłość, którą pieczołowicie zaplanował dla Bijoux, rodzinnej firmy, której główną siedzibę przeniósł właśnie na zachodnie wybrzeże Stanów. Szczerze mówiąc, o nic nie dbał, wiedziony pragnieniem, by wejść do sali i sprawdzić, czy mózg nie płata mu figla.

Sześć lat temu brutalnie wyrzucił Isę Varin ze swojego domu. Nie żałował, że zmusił ją do odejścia. Nie mógł zachować się inaczej, przecież go zdradziła. Może tylko żałował, że postąpił z nią tak obcesowo. Gdy wróciła mu jasność umysłu, wysłał za nią kierowcę. Chciał oddać jej rzeczy: torebkę, telefon, trochę pieniędzy, ale kobieta rozplynęła się we mgle. Szukał jej przez lata, by uspokoić sumienie i upewnić się, że nic złego nie przytrafiło jej się tamtej nocy. Nigdy jej nie odnalazł.

Teraz wiedział dlaczego. Namiętna, piękna i urzekająca Isa Varin przestała istnieć. Jej miejsce zajęła Isabella Moreno – sztywna profesorka o głosie tak ostrym jak brylantowy szlif. Tylko włosy, cudowne rude włosy, pozostały te same. Isabella nosiła je upięte w węzeł na karku, zamiast dzikich loków preferowanych przez Isę, ale zawsze rozpoznałby ten kolor.

Ciemne wiśnie o północy.

Mokry granat błyszczący w przefiltrowanym świetle Krwawego Księżyca.

A gdy ich oczy spotkały się ponad głowami studentów, poczuł się tak, jakby otrzymał cios w splot słoneczny. Nie mógł temu zaprzeczyć. Tylko na Isę jego ciało tak silnie reagowało.

Szybko pożegnał dyrektora GIA, a potem pospiesznie wrócił, by złapać Isę, nim zdąży się wymknąć. Prawie jej się udało. Właściwie nie był zaskoczony: w końcu reprezentowała długą linię sprytnych włamywaczy.

Czekając, aż coś powie, zastanawiał się, co on najlepszego robi. Dlaczego ją dogonił? Czego od niej chce? Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia. Po prostu musiał ją znów zobaczyć. Nie mógł się oprzeć pokusie.

- Cześć, Marc - odezwała się opanowanym głosem, unosząc ku niemu twarz.

Zapadła niezręczna cisza. Nie potrafił zdefiniować uczuć, jakie nim miotają. Zi-

gnorował je, koncentrując się na spojrzeniu jej oczu, ciemnych jak stopiona gorzka czekolada. To spojrzenie zwykle podcinało mu kolana. Ale te dni dawno minęły. Jej zdrada wszystko zniszczyła.

Kiedyś był słaby, dał się uwieść aurze niewinności, którą wokół siebie roztaczała. Nie popełni więcej takiego błędu. Zaspokoi ciekawość, dowie się, jak to się stało, że pracuje w GIA, a potem odejdzie.

Jej oczy lśniły teraz tak wieloma emocjami, że nie potrafił ich zróżnicować. Mogła przybrać maskę obojętności, ale jej oczy nie kłamały. Była poruszona tym przypadkowym spotkaniem tak samo jak on.

Uświadomił to sobie z pewną ulgą. Kiedyś miała nad nim przewagę, ponieważ kochał ją i ślepo jej ufał, nie wyobrażając sobie, że może go pewnego dnia zdradzić.

Te dni dawno minęły, powtarzał sobie jak mantrę. Isa może udawać, że jest zasadniczym profesorem gemmologii, ale on znał prawdę i nigdy już nie pozwoli, by uspiła jego czujność.

- Witaj, Isabello. - Starał się, by jego twarz wyrażała tylko sardoniczne rozbawienie. - Zabawne cię tu spotkać.

- Jestem zawsze tam, gdzie klejnoty.

- Jakbym o tym nie wiedział! - Celowo spojrzał na ścianę naprzeciwko, gdzie za szkłem znajdował się jeden z najdroższych naszyjników z opali, jakie kiedykolwiek wykonano. - Dyrektor powiedział mi, że uczysz tu od trzech lat, ale nie zanotowano żadnych kradzieży. Chyba tracisz formę.

Jej oczy zabłyśły z wściekłości, ale odpowiedziała spokojnie:

- Jestem członkiem kadry GIA. Pomoc w zapewnieniu bezpieczeństwa zgromadzonym tu klejnotom należy do moich obowiązków.

- A obydwoje wiemy, jak poważnie podchodzisz do swojej pracy... oraz lojalności. Maską pękła i dostrzegł furie na jej twarzy, zanim się opanowała.

- Czy czegoś ode mnie potrzebujesz, Marc? - Spojrzała znacząco na jego rękę, nadal zaciśniętą na jej łokciu.

- Pomyślałem, że możemy nadrobić zaległości. Przez wzgląd na dawne czasy.

- No cóż, dawne czasy wcale nie były takie dobre, a więc, jeśli mi wybaczysz... - Usiłowała się wyzwolić, ale on mocniej zacisnął palce. Choć zalewała go fala złości, nie chciał jej jeszcze puścić. - Za pół godziny mam spotkanie. Nie chcę się spóźnić.

- Z tego co wiem, paserzy mają tolerancję wobec spóźniających się.

Tym razem maska z niej spadła. Jedną ręką odepchnęła się od jego piersi, jednocześnie uwalniając łokieć.

- Sześć lat temu zniosłam wszystkie twoje nikczemne insynuacje i oskarżenia, bo czułam, że na nie zasługuję. Ale to było dawno temu. Skończyłam z tym. Mam nowe życie.

- I nową tożsamość.

- Tak. - Spojrzała na niego z rezerwą. - Potrzebowałam dystansu.

- Nie tak to pamiętam. - Stała po stronie swojego ojca nawet wtedy, gdy go okradł. Nie mógł o tym zapomnieć.

- Nie jestem zaskoczona.

Zmrużył oczy.

- Co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co słyszałeś. Nie jestem szczególnie biegła w fortelach i podtekstach.

Zabrzmiało to tak, jakby on był aroganckim dupkiem. Nie mógł powstrzymać się, by jej nie odpowiedzieć.

- Znów inaczej to pamiętam.

- Oczywiście. - Wprostowała się i uniosła głowę. - Zawsze przedkładałeś swoje emocje ponad prawdę. Czyż nie, Marc?

Nie sądził, że może jeszcze bardziej go rozwścieczyć, choć zawsze budziła w nim silne emocje. W swoim czasie nawet dobre. Ale nie da jej się znów omotać.

Marc, który kochał Isę Varin, był słabeuszem. Poprzysiągł, że nigdy nim już nie będzie, gdy obserwował, jak ochrona wyprowadzała ją z jego apartamentu.

- Najlepiej krytykować, kiedy samemu jest się winnym, Isabello. - Wypowiedziaławszy jej nowe imię z emfazą, zauważył, że zrozumiała ironię.

- Tak czy owak, na mnie już czas. - Zrobiła krok do przodu, ale zablokował jej drogę. Nie wiedział, co nim powoduje, ale nie chciał pozwolić jej odejść.

- Uciekasz? - spytał ironicznie. - Dlaczego mnie to nie zaskakuje? W końcu to tradycja rodzinna.

Dostrzegł cień bólu w jej oczach. A może tylko to sobie wyobraził? A jednak ziarenko poczucia winy w nim pozostało. Dopóki znów się nie odezwała.

- Jakikolwiek cel ci przyświeca, nie osiągniesz go. Zejdź mi z drogi, Marc.

Było to ultimatum, choć wypowiedziała je uprzejmym tonem. Nigdy nie potrafił dobrze reagować na takie rzeczy. Wkurzył się, ale nie mógł dopuścić, by to zauważyła. Nadal nie był gotów pozwolić jej odejść, zniknąć na kolejne lata z jego życia. Nadal kłębiły się w nim pytania, na które nie dostał odpowiedzi.

Unióśł brwi i jakby od niechcienia oparł się o chłodną wykafelkowaną ścianę. A potem zadał pytanie, które, jak wiedział, wszystko zmieni.

- A jeśli nie posłucham?

ROZDZIAŁ DRUGI

Isa z niedowierzaniem wpatrywała się w Marca. Czyżby rzeczywiście to powiedział? Jakby byli dziećmi, które bawią się w zgadywanki, rzucając sobie wyzwania. Jego strata, ale ona zrezygnowała z dzieciennych zabaw tej samej nocy, gdy musiała pokonać czterdzieści przecznic w marznącym deszczu, i to w samej sukience.

Zakończyła ten etap i zbudowała sobie nowe życie, pod innym nazwiskiem, by żaden ślad nie prowadził do jej ojca. Nie pozwoli Marcowi tego zniszczyć.

- Nie mam ochoty na takie gierki - zniecierpliwiła się. - Nawet gdybym powiedziała, że miło cię znów widzieć, wiedzielibyśmy, że kłamię. A więc... - zaszalowała mu drwiąco - bywaj zdrów!

Odwróciła się na pięcie i raz jeszcze ruszyła do przodu. Zrobiła zaledwie dwa kroki, zanim poczuła twardą dłoń na swojej talii.

- Chyba nie sądzisz, że to będzie takie proste, prawda?

Chropowate palce gładziły delikatną skórę jej nadgarstka. Znajoma pieśczość, którą tak często stosował podczas spędzonych razem miesięcy. Czowała ten dotyk jeszcze długi czas po tym, jak zerwali. Nawet teraz, po latach, jej zdradzieckie serce biło niekontrolowanie szybko.

Wściekła na siebie za swoją uległość - i na niego, że jest tak cholernie pociągający - wyrwała rękę z jego uścisku z większą siłą, niż to było konieczne. Zachwiała się, cofając o dwa kroki, co ją zdeprymowało. Dlaczego przed tym mężczyzną zawsze robi z siebie idiotkę?

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała lodowato.

Dostrzegła drwinę w jego oczach.

- Nadal nieźle kłamiesz. - Wyciągnął rękę i przesunął nią po jej włosach. - Miło widzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniły.

- Nigdy cię nie okłamałam.

- Ale też nie powiedziałaś mi prawdy, co ocaliłoby moją firmę, a mnie oszczędziło mnóstwa czasu, pieniędzy i wstydu.

Wróciło dawne poczucie winy. Próbowwała je zdusić, ale do końca nigdy jej się nie udało. Jednak nadal nie zgadzała się przyjąć całej winy na siebie. Nie w sytuacji, gdy delikatny mężczyzna, którego kiedyś znała, zniknął.

- Jak widzę, stanąłeś na nogi.

- Tak samo jak ty. - Znacząco zerknął na salę wykładową, z której właśnie wyszła.

- Profesor w GIA, światowy ekspert od diamentów. Raczej podejrzewałem, że podążysz w ślady tatusia.

Isa gwałtownie wciągnęła powietrze, przerażona, że nawet teraz jego słowa tak potrafią ją zranić.

- Nie jestem złodziejką. - Chciała rzucić mu te słowa w twarz z pogardą, ale głos jej się załamał.

Oczy mu pociemniały i przez sekundę pomyślała, że wyciągnie do niej rękę. Dotknie jej tak jak kiedyś, z czułością... Dreszcz ją przeszył i pomimo bolesnych słów, mimo wszystkiego, co się stało pomiędzy nimi, prawie się rozczuliła. Z trudem się powstrzymała, by nie oprzeć się o niego, jak robiła to wiele razy przedtem.

Ale po chwili czar prysł. Między jednym oddechem a drugim dopadły ją wszystkie złe wspomnienia, wypierając te dobre. Walczyła ze łzami, które zbierały się pod powiekami. Nie chciała okazać słabości. Zresztą z jego powodu przelała już morze łez. Ich związek należał do przeszłości i zamierzała tam go pozostawić.

Cofnęła się, i tym razem jej na to pozwolił. Wpatrywał się w nią z szyderczym uśmiechem. To chyba miało oznaczać, że następny ruch należy do niej. Niech tak będzie.

Wzięła głęboki oddech, popatrzyła mu w oczy i zrobiła to, co uznała za konieczne. Powiedziała prawdę.

- Wiem, że chcesz mnie ukarać, i Bóg wie, że masz do tego prawo. Przepraszam za całe zło, jakie wyrządził ci mój ojciec, ale on już nie żyje, a ja nie mogę zrobić nic, żeby to naprawić. Przyjmij moje płynące z głębi serca przeprosiny, a potem pozwól życiu toczyć się dalej. Ty będziesz prowadził swoje wykłady, ja swoje. Zostawmy przeszłość za sobą.

Nie poruszył się, zamrugał tylko powiekami, ale mogła przysiąc, że wzdrygnął się, słysząc te słowa. Nerwowo czekała, aż coś powie, ale w miarę jak mijały sekundy i nic się nie działo, rosło jej zdenerwowanie.

Marc Durand wpatrywał się w nią jak drapieżnik, któremu zęby, pazury, refleks i intelekt dają przewagę nad innymi zwierzętami na sawannie. Albo na plaży, pomyślała ze smutkiem, patrząc przez okna w holu na ocean.

Poruszyła się, czując jego badawcze spojrzenie, z zażenowaniem zdając sobie sprawę, że gdy ostatnim razem tak jej się przyglądał, była naga i błagała go, by się z nią kochał. I chociaż była teraz jak najdalsza od myśli o seksie z Markiem, jej zdradzieckie ciało nadal pamiętało związaną z tym przyjemność. Rozkosz, jakiej nigdy nie odczuwała ani przedtem, ani potem.

Sutki jej stwardniały, a policzki zabarwił rumieniec upokorzenia. Budziła w nim nienawiść, a może i obrzydzenie. A ona rozpamiętywała cudowne chwile w jego ramionach. Marc był wspaniałym kochankiem, namiętnym, bezinteresownym, zabawnym. Miesiące z nim spędzone były najlepszymi w jej życiu.

Ale po nich nastąpiły te najgorsze, przypomniała sobie gorzko. Musi o tym pamiętać. Łączyła ich tylko seksualna chemia.

Nadal milczał, a naładowana zmysłowością cisza stawała się coraz bardziej niezręczna.

Isa wyprostowała ramiona, odchrząknęła i powiedziała:

- Naprawdę jestem spóźniona. Muszę iść.

Do licha, zabrzmiało to tak, jakby pytała o pozwolenie. Ale nie była pewna, czy jest w stanie odejść, jeśli on nie wyjdzie jej naprzeciw.

- Dziś wieczorem jest koktajl - powiedział. - W galerii kamieni szlachetnych.

Zaskoczona raptowną zmianą tematu bezwiednie skinęła głową.

- Tak. Wiosenne spotkanie kadry.

- Chodź ze mną.

Chyba się przesłyszała? Dlaczego miałby ją prosić, by towarzyszyła mu na przyjęciu? Chyba że chce poniżyć ją przed jej kolegami.

Marc, którego kiedyś znała, w którym była beznadziejnie zakochana, nigdy by tak nie postąpił. Ale nie widziała go od sześciu lat, zaś ten mężczyzna – twardy, złośliwy, bezkompromisowy – może być zdolny do wszystkiego. Nieważne, co mówiło jej spragnione przyjemności ciało, i tak nie chciała mieć z nim do czynienia.

– Nie mogę.

– Dlaczego? – Nie spodobała mu się jej odpowiedź.

– Już jestem umówiona. – Słowa wypłynęły z jej ust, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić.

Nie było to kłamstwo, ale również nie do końca prawda. Ona i Gideon planowali wspólne wyjście już od tygodni, jednak byli tylko przyjaciółmi, wiedziała zatem, że Gideon nie miałby nic przeciwko temu, żeby przyszła z kimś innym.

Ale ona by tego nie zniosła. Ledwie wytrzymała piętnastominutową rozmowę z Markiem w holu. Nie mogła nawet sobie wyobrazić, co by się z nią stało – albo z jej nową tożsamością, na którą tak ciężko pracowała – gdyby spędziła wieczór w jego towarzystwie. Nie jest masochistką. Czasy, gdy mu we wszystkim ulegała, dawno minęły.

– Kim on jest? – rzucił przez zęby.

– Gideon, tutejszy wykładowca. Poznasz go na przyjęciu.

Z wielkim wysiłkiem zmusiła się do uśmiechu. Nawet pomachała mu ręką, gdy po raz trzeci w ciągu minionych dwudziestu minut ruszyła korytarzem. Nareszcie pozwolił jej odejść.

Zanim otworzyła boczne drzwi i wyszła na wczesne wiosenne słońce, zdążyła sobie przekonać, że jest z tego powodu szczęśliwa.

– Dlaczego jesteś w takim podłym humorze? – spytał Nic. – Kot ci nasikał do butów czy co?

Marc z nachmurzoną miną oderwał wzrok od komputera. Młodszy brat wpadł jak zwykle niezapowiedziany do jego gabinetu w kalifornijskiej siedzibie Bijoux. Zazwyczaj nie miał nic przeciwko temu, ale akurat teraz, zaledwie kilka godzin po rozmowie z Isą, Nic był ostatnią osobą, jaką chciał widzieć.

Braciszek nie dość, że cholernie spostrzegawczy, obdarzony był oryginalnym poczuciem humoru. Marc musiał utrzymywać maksymalną czujność, by nie dać się wyprowadzić w pole. A dziś nawet nie miał ochoty próbować.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Oczywiście, że wiesz. Spójrz na siebie.

– To raczej niemożliwe, zważywszy, że nie ma tu lustra.

– Och, dlaczego mam brata całkowicie pozbawionego wyobraźni? – Nic wznosił oczy do nieba, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź.

Szczerze mówiąc, Marc uważał, że Nic ma większą szansę znalezienia odpowiedzi na suficie niż na boską interwencję, ale o tym nie wspomniał. Nie chciał dostarczać bratu amunicji.

– Żebyś ty mógł uchodzić za tego zabawnego braciszka – odpowiedział.

– Bo jestem zabawny. – Nic przewrócił oczami. – Ale okej. Nie możesz zobaczyć

swojej twarzy, ale ja ją widzę. I powiem ci, że wyglądasz jak ktoś... - Zawahał się, szukając właściwego określenia.

- Kto psuje ci humor?

- Właśnie. A więc o co chodzi? Kłopoty z De Beersami?

- Nie większe niż zazwyczaj.

- Jakaś nowa mina?

- Nie. Dostałem odpowiedź od Heatha i wszystko idzie dobrze. Chociaż to coś zupełnie nowego, powinniśmy jesienią nieźle na tym zarobić.

- Widzisz? Kto mówi, że nie potrafisz robić pieniędzy i znaleźć nowych źródeł pozyskania diamentów?

- Chciwe sukinsyny bez serca i sumienia.

Nic parsknął.

- To było pytanie retoryczne. Ale i tak odpowiedź dobra.

- Dlatego płacą mi duże pieniądze.

Marc odwrócił się do komputera, próbując skoncentrować się na otwartym arkuszu kalkulacyjnym. Zazwyczaj działało to na niego jak kocimiętka na koty, ale dzisiaj patrzeć na wartość produkcji w rozmaitych kopalniach tylko go irytowało. Szczególnie gdy nie mógł przestać myśleć o Isie i tajemniczym mężczyźnie, który miał towarzyszyć jej na przyjęciu.

Czy to przyjaciel? Chłopak? Kochanek? Ta ostatnia myśl sprawiła, że zwinął dłoń w pięści, a zęby zacisnął tak mocno, że prawie czuł odpadające szkliwo.

- Widzisz! - powiedział Nic. - O takim spojrzeniu mówię.

- Znow nie mogę tego zobaczyć.

- Ale ja mogę, a więc powiedz mi, o co chodzi. Jeśli nie tracimy pieniędzy i aktualnie nie wojujemy z De Beersami, to co tak cię wyprowadziło z równowagi?

Marc spojrział na niego ze złością.

- Nie jestem wyprowadzony z równowagi.

- Już to widzę! - Nic podszedł do barku stojącego w rogu, wyjął z lodówki dwie puszki z wodą i rzucił jedną bratu.

- Co to, u diabła, znaczy?

- To znaczy, że zamierzam cię naciskać, aż powiesz mi, co się stało, a więc równie dobrze możesz to z siebie wydusić. W przeciwnym wypadku nigdy nie wrócisz do swojego ulubionego zajęcia, czyli studiowania arkusza kalkulacyjnego. - Nic rozsiadł się w fotelu przeznaczonym dla gościa i położył nogi na biurku Marca. - No, wyduś to wreszcie.

Marc udawał, że skupił się na ekranie komputera, ale Nic nie zrozumiał aluzji albo całkowicie ją zignorował. Przeciągającą się ciszę zakłócał jedynie dźwięk przełykanej przez Nica śliny oraz zgrzytanie zaciśniętych zębów Marca. W końcu Marc się poddał.

- Wpadłem dziś na Isę - oznajmił.

Stopy Nica z hukiem uderzyły o podłogę, gdy nagle się wyprostował.

- Isę Varin?

- Teraz nazywa się Moreno.

- Wyszła za mąż? - Gwizdnął przeciągle. - Nic dziwnego, że jesteś w kiepskim humorze.

- Nie jest mężatką! - warknął Marc. - A nawet gdyby była, nic mi do tego.

- Och, oczywiście! - zadrwił Nic. - Tylko że przez ostatnie sześć lat umawiałeś się z każdym rudzielcem, który ci się nawinął, byle ją zastąpić. Ale jej stan cywilny to rzeczywiście nie twoja sprawa.

- Ja nigdy... - Chciał powiedzieć bratu, że się myli, ale wracając myślami do kobiet, z którymi się spotykał, zdał sobie nagle sprawę, że Nic może mieć rację.

Nigdy przedtem nie zauważył, że wszystkie kobiety w jego życiu miały rude włosy. Były wysokie, smukłe, o delikatnej budowie i wspaniałym uśmiechu. Czyżby przez wszystkie te lata podświadomie szukał sobowtóra Isy? Do diabła!

- A więc skąd ta zmiana nazwiska, jeśli nie wyszła za mąż?

- Mówi, że chciała zacząć życie od nowa - odparł.

Nic westchnął z udawanym współczuciem.

- Nie wątpię!

Nie podobał mu się ton głosu brata.

- Co to ma znaczyć?

- A jak myślisz? Wiem, że kiedy ją wyrzuciłeś, miałeś powody.

- Musiałem tak postąpić! Naprawdę uważasz, że miałem wybór? - Wiele razy wracali do tej kwestii. - Zapłaciłem mnóstwo pieniędzy prywatnym detektywom. Choć jeden z nich powinien natrafić na tę zmianę nazwiska.

- Może zrobiła to nielegalnie.

- To musiało być legalne. Zatrudniono ją pod tym nazwiskiem.

- Zapomniałeś, kim był jej ojciec? Przy jego kontaktach bez wysiłku mogła kupić sobie nową tożsamość.

- Isa by tego nie zrobiła. - Ale jego pewność siebie nagle uleciała.

W słowach Nika było dużo sensu. W końcu kłamała już wcześniej. Kradła. Jak córka światowej sławy złodzieja biżuterii, która sama też była złodziejką, mogła nauczać w GIA? Nawet jeśli jest najlepsza w tej dziedzinie? Miała tu dostęp do najwspanialszych kamieni szlachetnych na świecie!

A jeśli nawet nie była złodziejką, reputacja jej ojca powinna wystarczyć, by drzwi do GIA zostały przed nią na zawsze zamknięte. Chyba że zrobiła tak, jak podejrzewał Nic. Gdyby legalnie zmieniła nazwisko, bez wątpienia detektywi wpadliby na jej trop.

- Jak ona się ma? - Nic przerwał zadumę Marca. - Wszystko u niej w porządku?

- W porządku. - A nawet lepiej. Wyglądała zachwycająco: zdrowo, szczęśliwie, nawet promiennie. Przynajmniej dopóki go nie zauważyła. Wtedy jej wewnętrzne światło jakby zgasło.

- No to super. Pomimo kłopotów finansowych, w jakie wpakował nas jej ojczulek, zawsze ją lubilem.

On również. Nawet jej się oświadczył, choć zanim ją poznał, twierdził, że nigdy się nie ożeni. Cóż, jego rodzice nie stanowili wspaniałego przykładu w tym względzie.

- No i co, chciałeś się z nią umówić?

- Żartujesz? Czy sam przed chwilą nie wspomniałeś, jak zakończyła się nasza znajomość?

- Isa jest wielkoduszna. Na pewno ci przebaczy.

- To nie mnie należy przebaczać. Ona prawie zniszczyła naszą firmę!

- Jej ojciec, nie ona.

- Wiedziała o wszystkim.

- Owszem, ale co miała powiedzieć? „A tak przy okazji, kochanie, ten napad rabunkowy, z powodu którego omal nie zbankrutowałeś, to chyba sprawka mojego tatusia?”.

- Tak byłoby uczciwie.

- Opuść jej. Miała dwadzieścia jeden lat i była śmiertelnie przerażona.

Marc zmarszczył czoło.

- Nagle jesteś bardzo wyrozumiały. O ile dobrze pamiętam, gdy to wszystko się działo, żądałeś jej głowy.

- Głowy jej ojca - poprawił go Nic. - Uważałem, że powinien wylądować na krzesle elektrycznym, ale ty nie wniosłeś oskarżenia. Nawet więcej, pociągnąłeś za wszystkie sznurki, żeby wyciągnąć faceta z kłopotów. Do diabła, nadal musisz się za to rewanżować.

Nic miał rację. Przysługi są często bardzo kłopotliwe. Nieraz się zastanawiał, dlaczego to zrobił. Dlaczego starał się uchronić złodzieja przed więzieniem? Ale gdy oczami duszy widział jej twarz, bladą, ściągniętą bólem, przerażoną, nie miał wyboru.

Marc wstał i podszedł do dwóch widokowych okien tworzących w rogu pokoju szklaną ścianę. Rozciągał się stąd wspaniały widok na Pacyfik, którego potężne fale smagały skaliste wybrzeże. Wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę: ten widok zawsze go uspokajał.

Przeniesienie centrali Bijoux North American do San Diego pół roku temu było jednym z jego najlepszych posunięć. Zrobił to ze względu na bliskość GIA, światowego centrum gemmologii, ale sąsiedztwo oceanu stanowiło miły dodatek.

- Był schorowany. Zresztą Salvatore zmarł przed upływem roku. Nie musiał spędzać ostatnich miesięcy życia w celi.

- Zrobiłeś to dla Isy, bo w gruncie rzeczy masz miękkie serce, tylko lubisz zrędzić.

- Zrędzić? Przez ciebie czuję się, jakbym miał dziewięćdziesiąt lat!

- Sam to powiedziałaś. - W smartfonie Nica zabręczał alarm. - Już uciekam. Za pięć minut rozpoczyna się spotkanie działu marketingu, a ja chcę na nim być.

- Dobrze idzie ta nowa kampania? - spytał Marc.

On jako dyrektor generalny Bijoux zajmował się całością przedsięwzięcia biznesowego - kontraktami z rządem, z kopalniami, zatrudnieniem, dystrybucją. Ale to jego brat był kreatywnym geniuszem w rodzinie. Rządził marketingiem, reklamą i sprzedażą, wszystkim, co miało związek z publicznym wizerunkiem firmy. I robił to wspaniale, co Marc doceniał, ponieważ sam mógł skoncentrować się na tym, co najbardziej lubił: na rozwoju firmy. Chciał, by stała się największym na świecie centrum obrotu diamentami.

- Doskonale - rzucił Nic od niechcienia. - Po prostu lubię być na wszystkich spotkaniach, żeby usłyszeć o nowych pomysłach. Trzeba iść z duchem czasu.

- A to mnie nazywają maniakiem kontroli.

- Bo nim jesteś. Ja jestem tylko skrupulatny. - Nic zgniótł puszkę po wodzie

i wrzucił ją do kosza. - Bingo! Prosto do siatki.

Marc powstrzymał się przed stwierdzeniem, że tu nie ma siatki. Pewnie znów by usłyszał, że jest mało zabawny.

Nic zatrzymał się w drzwiach i odwrócił.

- A poważnie, braciszku. Los daje ci kolejną szansę z Isą. Powinieneś z niej skorzystać.

- Nie wierzę w los. I nie chcę kolejnej szansy.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to dać Isie kolejną możliwość zdemolowania jego biznesu... i serca.

Czy chciał z nią iść do łóżka? Do diabła, tak! Który mężczyzna by nie chciał? Była piękna, gdy była podniecona. Nie wspominając już, że cholernie seksowna, szczególnie gdy podczas orgazmu wypowiadała głośno jego imię. Seks z nią był najlepszym, jaki kiedykolwiek miał.

Ale jednocześnie należała do kobiet, które się kocha, a nie tylko uprawia z nimi seks. To w niej go urzekło. A teraz tkwiła mu cierniem w sercu, nie wspominając o innych ważnych częściach jego anatomii.

- A więc o niej zapomnij - poradził Nic. - Przeszłość umarła. Obydwoje poszliście do przodu. Tak trzymaj!

- Mam taki zamiar.

A jednak Marc nie mógł przestać myśleć o Isie i o jej dzisiejszej randce. Gideon. Już samo imię przyprawiało go o ból zębów. Kim jest, u diabła? Czego chce od Isy?

Przypomniał sobie, jak wyglądała, stojąc przed studentami w sali wykładowej. Jej oczy promieniały, gdy rozwijała swój ulubiony temat, zaróżowiona skóra lśniła. Bujne włosy były zebrane w ten śmieszny kok, a wspaniałe ciało ukryte, a jednocześnie odsłonięte w wąskich spodniach i swetrze z golfem.

Gdy ją poznał, rozpierała ją ciepła słodka namiętność - do życia, do klejnotów, do niego... Zmieniła się. Teraz była zdystansowana, pełna wahań, rozterek i zahamowań, co w połączeniu czyniło z niej kobietę jeszcze bardziej intrygującą. Taką, której nie mógł przestać pragnąć, mimo swojego gniewu i jej zdrady.

Isa wyraźnie nie miała ochoty na odnowienie znajomości, ale widział, jak na niego patrzyła, jak pochyliła się ku niemu, gdy jej dotknął.

Może zaciągnięcie jej do łóżka nie byłoby tak wielkim wyzwaniem jak kiedyś? Uśmiechnął się na tę myśl. Mógłby się z nią kochać - znów, znów i znów. W każdy możliwy sposób...

Może wtedy będzie mógł raz na zawsze wyrzucić ją z podświadomości. Zostawić ją i wszystkie niezakończony sprawy za sobą na zawsze.

ROZDZIAŁ TRZECI

On tu jest! Choć jeszcze na niego nie wpadła, czuła, że ją obserwuje od chwili, gdy u boku Gideona pojawiła się na przyjęciu. Zawsze tak było – wyczuwała obecność Marca, gdy pojawiał się w pobliżu.

– Przynieść ci drinka?

Gideon pochylał się do jej ucha z powodu gwaru w sali. Cicha muzyka nakładała się na setkę rywalizujących z sobą głosów – a jednak powiew jego ciepłego oddechu tak blisko jej policzka i szyi wprowadził ją w zakłopotanie.

Głupia! Gideon to tylko przyjaciel. Od czasu do czasu towarzyszył jej w wypadach do kina albo na przyjęcia. Znali się od trzech lat i nigdy nie dał po sobie poznać, że chodzi mu o coś więcej. Był kolegą, kumplem, przystanią w czasie sztormów. Dlaczego nagle poczuła się niezręcznie w jego obecności?

Przeszył ją dreszcz. Oto odpowiedź: Marc tu jest, obserwuje ją. Nie widziała go nawet przez mgnienie oka, ale czuła, że nie podoba mu się, że Gideon pochyla się do jej ucha, obejmując ją ramieniem.

Odrzuciła tę myśl. Przecież zerwali z sobą sześć lat temu. Prawdopodobnie nic a nic go nie obchodzi, tak samo, jak jej nie obchodzi, z kim przyszedł.

– Isabel? – Łagodny głos Gideona opadł o oktawę, a w jego jasnozielonych oczach pojawił się niepokój. – Dobrze się czujesz? Wydajesz się jakaś nieswoja.

Miał rację. Czuła się nieswojo – i to nie tylko przez ostatnie pół godziny. Czuła się dziwnie od czasu spotkania z Markiem w holu. A teraz świadomość, że on tu jest, sprawiała, że czuła się jeszcze gorzej.

Dla niepoznaki rzuciła Gideonowi ciepły uśmiech.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Ale już odsuwam wszystkie myśli na bok, obiecuję.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Uważaj na ten uśmiech, kobieto. To śmiercionośna broń. – Nagle spoważniał. – Wiesz, że jeśli czegoś potrzebujesz, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Oczywiście. Ale wszystko w porządku, przysięgam. – Pochyliła się ku niemu i przelotnie pocałowała go w policzek. – Chyba się czegoś napiję.

– To co zawsze? – spytał, prowadząc ją w stronę grupy kolegów, z którymi obydwoje byli zaprzyjaźnieni.

– Byłoby wspaniale.

Gideon zostawił ją w towarzystwie, sam zaś ruszył w stronę baru. Isa próbowała się odprężyć, wciągnąć w rozmowę, ale nie potrafiła. Czuła, jakby oczy Marca wierciły dziurę w jej plecach.

Po chwili Gideon przyniósł jej drinka, kieliszek schłodzonego pinot grigio. Zanim zdążyła podziękować, usłyszała za sobą głos dziekana.

– Witam wszystkich. Chciałbym przedstawić nowego wykładowcę naszego wydziału.

Nie padło jeszcze nazwisko Marca, ale ona poczuła ucisk w żołądku.

Jej przyjaciele powitali go serdecznie. Byli towarzyskimi otwartymi ludźmi i każdy nowy wykładowca – a już szczególnie ktoś pokroju Marca – budził ich zainteresowanie.

Oczywiście, doskonale się zaprezentował. Od razu zapamiętał wszystkie imiona. Opowiedział dowcip, wywołując ogólny wybuch śmiechu. Zadał odpowiednie pytania, które umożliwiły zaprezentowanie się każdej osobie w grupie.

Marc z łatwością nawiązywał kontakty – ona nigdy nie była w stanie mu dorównać, nawet gdy bardzo się starała. Chciała być narzeczoną, z której byłby dumny. Usiłowała być urocza i swobodna, ale, cóż, często paraliżowała ją nieśmiałość. Lubiła rozmawiać ze studentami, z przyjaciółmi, ale pogawędki z nieznanymi, których przedstawiał jej Marc, zawsze ją onieśmiały. Takie sytuacje były dla niej trudne, już na długie godziny przed wyjściem czuła się skrzepowana.

Oczywiście nigdy o tym nie wspomniała Marcowi. Nie chciała, by z jej powodu czuł dyskomfort albo dostrzegł w niej wady. Kochała go tak bardzo i tak rozpaczliwie pragnęła zostać jego żoną, że zrobiłaby wszystko, o co by poprosił. I zrobiła wszystko – prócz odrzucenia swojego ojca. Ta jedna decyzja przekreśliła wszystko.

Złość w niej narastała, co w połączeniu z winem i nerwami sprawiło, że zrobiło jej się niedobrze. Gideon natychmiast zauważył, że coś się z nią dzieje. Objął ją w tali i przyciągnął do siebie.

– Dobrze się czujesz? – spytał cicho, przyciskając usta do jej ucha, tak by nikt nie mógł go usłyszeć.

Był jednym z niewielu ludzi, którym zwierzyła się ze swego kompleksu. Właśnie dlatego nalegała, by zawsze towarzyszył jej na przyjęciach i zostawiał ją w gronie przyjaciół, gdy oddalał się po drinka.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – wyszeptała.

– Taras jest otwarty. Wyjdę z tobą.

– Nie, nie trzeba. – Był pochłonięty rozmową, nie chciała go od niej odrywać. –

Wrócę za kilka minut.

Zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. – Przelotnie go uścisnęła i odeszła pod pretekstem udania się do łazienki.

Szeroko otwarte drzwi na końcu sali prowadziły na taras z widokiem na ocean. Gdy podeszła bliżej, poczuła podmuch morskiego wiatru. Był trochę chłodny, trochę słony, czyli taki, jakiego potrzebowała, by zebrać myśli. I żeby zapomnieć o Marcu oraz bolesnej przeszłości, której nie mogła zmienić.

Prześlizgując się obok grupki ludzi, zaszyła się w najciemniejszym kącie, zacisnęła ręce na żelaznej balustradzie, zamknęła oczy i głęboko oddychała. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Powoli się uspokajała. Zastanawiała się, jak długo może tu zostać, zanim Gideon zacznie jej szukać.

Wyglądała zachwycająco. W purpurowej obcisłej sukience wyróżniała się jak boja świetlna wśród morza czarnych koktajlowych kreacji. Była tak seksowna, tak zmysłowa, jak ją zapamiętał. A nawet bardziej, ponieważ dojrzałość dodała jej seksapi-

lu.

To ten seksapil przyciągał tego bałwana Gideona. Wykorzystywał każdą szansę, by ją musnąć, dotknąć, przytulić. Bezczyenne przyglądanie się, jak ten palant obmacuje Isę, było jednym z najtrudniejszych momentów w jego życiu. Miał ogromną ochotę wymierzyć mu fangę w nos. Cóż, wydawało się, że Isa nie ma nic przeciwko temu, choć umizgi Gideona jego doprowadzały do wściekłości. Jakby te sześć lat pomiędzy terażniejszością a przeszłością odeszły w nicość, jak śnieg w pierwszy słoneczny dzień.

Obserwował ją, jak przechodzi pomiędzy ludźmi, jak wyslizguje się na taras i skrywa w odludnym kącie.

Obserwował, jak bierze głęboki drżący oddech. Potem kolejny i kolejny. Jej piękne piersi drżały. Och, czuł, że go bolą palce z pragnienia, aby jej dotknąć, całować, pieścić, doprowadzić do orgazmu.

Gdy jej się przyglądał, przed jego oczami pojawiła się wizja Gideona kochającego się z Isą, tak samo jak kiedyś on się z nią kochał. Ogarnęła go nieopisana wściekłość.

W sekundę znalazł się obok niej.

- Kim jest dla ciebie ten cały Gideon? - wypalił bez zastanowienia.

Isa gwałtownie otworzyła oczy i odwróciła się, przykładając drżącą rękę do dekoltu.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Co tu robisz?

- Śledziłem cię. - Postąpił krok do przodu i przesunął palcami po jej miękkim policzku.

- Dlaczego?

Zignorował pytanie, skupiając się na jej przyspieszonym oddechu. Była albo zdeenerwowana, albo podniecona. A może jedno i drugie. Ucieszony tą reakcją, nagle zdał sobie sprawę, że może spodziewała się Gideona zamiast niego.

- Kim jest dla ciebie ten facet? - powtórzył.

- Gideon?

Wypowiedziała to imię jakoś tak miękko i czule. To go rozzłościło, zrobił się spięty. I jeszcze bardziej zdeterminowany, by zaciągnąć ją do łóżka.

- Tak.

- To mój towarzysz na przyjęciach. I... przyjaciel.

Głos jej się załamał, gdy przesunął dłonią od jej policzka do podstawy szyi, gdzie bił szybko puls.

- To wszystko?

Zwilżyła językiem wargi i prawie jęknęła. Brakowało jej tchu, pierś wznosiła się i opadała nierówno.

Świadomość, że ona również go pragnie, sprawiła, że poczuł nagłe pożądanie. Przysunął się bliżej, musnął jej ciało, jednocześnie gładząc jej kark. Odezwał się w nim instynkt zaborczego posiadacza. Nie mógł się powstrzymać i wcale tego nie chciał.

- Przyjaciel? - Jego usta znalazły się tuż nad jej wargami. - A może ktoś więcej?

- Gi...Gideon?

Ucieszyło go zmieszanie w jej głosie.

- Facet, z którym tu przyszłaś. - Marc pochylił się jeszcze bliżej i musnął wargami kącik jej ust. - Jesteś z nim?

- Nie - zaprzeczyła szeptem, ale jemu to wystarczyło, ponieważ się zaczerwieniła.

- To dobrze - powiedział i objął ustami jej wargi.

W tym pocałunku chodziło zarówno o zademonstrowanie posiadania, jak i o zaznanie przyjemności.

Minęło długich sześć lat, odkąd jej dotykał, obejmował, całował te pełne usta. Ale w myślach nadal do niego należała. Przy pierwszym nacisku jego ust Isa z gwałtownym westchnieniem rozchyliła wargi. Skorzystał z okazji i wsunął w nie język. Położyła ręce na jego piersi, on zaś w pierwszym momencie pomyślał, że zamierza go odepchnąć. Przygotował się na to, na torturę, jaką będzie konieczność wycofania się, ale ona zacisnęła palce na jego koszuli i go przyciągnęła. Takiego przyzwolenia potrzebował.

Zbliżył dłonie do jej twarzy i ujął ją pod brodę. Głaskał kciukami jej kości policzkowe. Całował ją tak, jakby przez te wszystkie lata o niczym innym nie marzył.

Ocierał język o jej język, głaskał, zataczał kółka, drażnił go i smakował. Jęknęła, a ten miękki gardłowy dźwięk przeszył go na wskroś i podniecił tak, jak nigdy przez minione sześć lat. Z narastającym pożądaniem, odchylił jej głowę, a ona wygięła się ku niemu. Biodra przywarły do jego bioder, a palce głaskały go i drapały poprzez cienki jedwab koszuli.

Kiedyś uwielbiał te lekkie ukłucia bólu i świadomość, że będzie nosił ślady jej paznokci godzinami, a nawet dniami. Odkrycie, że ciągle czuje to samo, wprawilo go w zdumienie. A może prawdziwym zaskoczeniem będzie zakończenie pocałunku? Teraz nie mógł o tym myśleć. Nie mógł myśleć o niczym prócz niej i uczuć przepływających między nimi. Nie miał wyboru, poddał się cudownym wrażeniom. Oddał siebie Isie.

Była przedziwną mieszanką miękkości i ostrości, wzruszenia i desperacji, czegoś znajomego i egzotycznego zarazem. Pragnął jej - i wszystkiego, co mogła mu dać - bardziej niż powietrza.

W głowie mu wirowało, zanim oderwała się od niego. Nie odsunęła się daleko, po prostu przerwała pocałunek i stała, dysząc, i opierając czoło o jego czoło. Pozwolił jej złapać oddech i sam wciągnął tlen w płuca. A potem znów wziął we władanie jej usta.

Za drugim razem było nawet lepiej.

Usta miała ciepłe, smakowała jak musujące wino i jeżyny w pełni lata. I morze. Chłodno, czysto i dziko. Było tak jak zawsze.

A przecież tyle zmieniło się w jej życiu. Bał się, że również jej gust. Uświadomienie sobie, że pożąda go tak jak dawniej, niemal zbiło go z nóg. Znów ją pocałował, i znów, aż jej skóra pod jego dłońmi zrobiła się gorąca i zaczerwieniona. Aż bolały ich wargi.

Pozwoliła, by ją całował, pozwoliła, by jej dotykał, oddała mu siebie. A myślał, że to już nigdy się nie zdarzy, że ona już nigdy nie otworzy się przed nim, a on nie zaufa jej na tyle, by jej na to pozwolić.

Ale tu nie chodziło o zaufanie ani o miłość. Tu chodzi o pożądanie, które buzowało w nim szalonym ogniem.

Gdy w końcu przerwał pocałunek, usta miał odrętwiałe. Wyśliznęła się z jego objęć, odepchnęła go i odwróciła twarz do oceanu. Przyglądał się zafascynowany, jak jej ramiona drżą, jak desperacko walczy o samokontrolę.

Życzył jej szczęścia. Bóg wie, że on nie ma na to szans.

- Nigdy już tego nie rób - powiedziała głosem nadal drżącym z tłumionego pożądania.

- Czego nie robić? - Odwrócił ją do siebie, by w szarym świetle zmierzchu zobaczyć jej twarz.

Jej oczy były ogromne, źrenice rozszerzone z namiętności. Zalała go znów fala pożądania.

- Nigdy cię nie dotykać? - Zaciśniętą ręką musnął jej szczękę, a następnie położył otwartą dłoń na jej obojczyku. - Nigdy już cię nie całować?

Jej skóra była miękka i ciepła, gdy całował ją od skroni po policzku i do kącika ust. Potem przycisnął wargi do jej ust i delikatnie chwycił dolną wargę między zęby.

Isa podniosła rękę i wsunęła ją we włosy na jego karku, jednocześnie wydając z głębi gardła niskie ponagłające dźwięki. Robił wszystko, aby nie jęknąć, aby nie wziąć jej tutaj przy barierce tarasu.

- Nigdy cię nie pożądać? - Dłoń, która spoczywała na jej talii, przesunął w dół, przyciskając do siebie jej biodra, drugą ręką zaś objął jej pierś poprzez cienki materiał sukienki. - Myślę, że straciliśmy już na to szansę. Nasz statek przybił do portu.

- Marc... - wyszeptała urywanym głosem.

Jego imię zabrzmiało jak modlitwa, przekleństwo, rozgrzeszenie, potępienie. Wszystko jedno. Liczyło się tylko to, by znów ją pojąć. Przez sześć lat myślał, że gdy ponownie jej dotknie, ukoji ciało i zazna trochę spokoju.

- Pozwól mi... - wyszeptał do jej ucha, jednocześnie ściskając jej sutek kciukiem i palcem wskazującym. - Zaopiekuję się tobą, dostarczę ci rozkoszy...

Isa mocno go odepchnęła. Była szczupła, drobnej kości, ale silniejsza, niż na to wyglądała.

- Marc, nie! - Odwróciła twarz i znów go odepchnęła. - Przestań!

Nie znosił tego słowa, ale nie dyskutował, gdy padało z ust kobiety. Cofnął się, oderwał ręce od jej ciała.

- Wiem, co chcesz zrobić. - Jej oczy rzucały płomienie, głos drżał.

- Doprawdy? - mruknął.

- Próbujesz postawić mnie w żenującej sytuacji w miejscu pracy. Próbujesz zniszczyć wszystko, co zbudowałam. Nie pozwolę ci na to.

Nawet nie starał się kryć urazy.

- Całowanie mnie wprawia cię w zażenowanie?

Musiała wyczuć niebezpieczeństwo w jego głosie, ponieważ nerwowo przesunęła ręką po włosach, podczas gdy palcami drugiej bawiła się swoim naszyjnikiem.

- Nie rób z siebie takiego macho i nie atakuj mnie.

- Nie udaję macho - odparł oburzony.

- No tak, nie musisz tego udawać - parsknęła. - Zawsze chciałeś dominować i wszystko kontrolować. Ale rób, co chcesz, ja nie zamierzam ani sekundy służyć ci

za zabawkę. Jestem na oficjalnym spotkaniu u siebie w pracy. W przeciwieństwie do ciebie nie mam funduszu powierniczego i potężnej firmy, na których mogłabym się oprzeć, jeśli stracę pracę za niestosowne zachowanie. Kariera zawodowa to wszystko, co mam, i nie pozwolę ci jej zniszczyć, tak jak zniszczyłeś...

Chwycił ją pod łokieć.

- Tak jak zniszczyłem nasz związek? - spytał jedwabistym głosem. - O ile pamiętam, zrobiłaś to wszystko sama.

- Nie wątpię, że tak to pamiętasz. - Znacząco zerknęła w dół i, zanim zdążył wypowiedzieć następne słowo, wyswobodziła się z jego uścisku. - Stąd wiem, że zrobisz wszystko, żeby poniżyć mnie i wpędzić w kłopoty. Ale nic z tego. Nigdy więcej mnie nie dotykaj. Idź do diabła!

Prześliznęła się obok niego i z szelestem purpurowego jedwabiu, w obłoku chanel nr 5, zniknęła w tłumie.

Nie był pewien, jak to o nim świadczy, ale najbardziej nakręciło go jej święte oburzenie.

Jest nienormalna albo załamała się psychicznie. A może się upiła? Nie ma innego wytłumaczenia, dlaczego wpadła w ramiona Marca, jakby minęło sześć minut, a nie sześć lat, od czasu, gdy byli razem. Przecież wyrzucił ją na bruk!

Rozumiała pociąg seksualny, ale czy mógł współistnieć z nieskrywaną niechęcią i brakiem zaufania, które teraz do siebie czuli?

A jednak pozwoliła, by ją całował. Pozwoliła mu się dotykać i pieścić. Niemal doprowadził ją do orgazmu! Niebywałe! Wstydziła się za siebie. Wstydziła się, że po tym wszystkim, co zrobił, by ją zranić, po tym, co ona mu zrobiła, jej ciało zareagoowało na niego z taką gotowością.

Przedzierając się przez tłum, czuła na sobie jego spojrzenie niczym palący dotyk.

Zanim dotarła do Gideona, trzęsała się ze złości na siebie. Powinna zostać na przyjęciu, popijać szampana i czekać na swoją kolej do pogawędki z dyrektorem instytutu, ale nie była w stanie pozostać tu ani minuty dłużej. Musi stąd uciec, zanim zrobi z siebie wariatkę przed ludźmi, rzuci się na Marca i zacznie go błagać, by wziął ją tu, pośrodku zatłoczonej sali.

Poganiana niespokojnymi myślami, ostatnie kilka kroków, które dzieliły ją od Gideona, przebiegła. Kładąc mu rękę na ramieniu, błagalnym tonem powiedziała, że nie czuje się dobrze i musi wezwać taksówkę. Zresztą bladość twarzy i drżące ręce mówiły same za siebie.

Gideon natychmiast odstawił drinka.

- Biedactwo - powiedział. - Zabierzmy cię do domu. - Objął ją w talii i przepraszając wszystkich, torował im drogę do wyjścia.

- Nie musisz ze mną jechać - zaprotestowała gorączkowo. - To tylko ból głowy. Dam sobie radę.

- Nie bądź śmieszna! Przyszedłem z tobą i odwiozę cię do domu. Zrobiło się tu duszno. Można powiedzieć, że ty ratujesz mnie, a nie na odwrót.

- Tere fere! - Wycisnęła pocałunek na jego policzku. - Ale doceniam twój gest.

Ledwie oderwała usta od policzka Gideona, zrozumiała, że popełniła błąd. Co prawda nie widziała Marca, bo stała do niego tyłem, ale czuła się przez niego ob-

serwowana.

Jak teraz wygląda w jego oczach? Przed chwilą niemal mu uległa, a teraz tuli się do Gideona...

Trudno, nie będzie się tym przejmować. Niech sobie myśli, co chce.

Pozwoliła Gideonowi poprowadzić się do wyjścia. Powiedziała Marcowi, że to, co zdarzyło się na tarasie, więcej się nie powtórzy. Naprawdę w to wierzyła. Nie ma znaczenia, że nadal jej się podoba, że między nimi są jeszcze niezakończony sprawy. Nie jest już zakochaną do nieprzytomności dziewczyną, jaką była sześć lat temu, gotową zaryzykować wszystko, by z nim być.

Otrzymała od losu kilka twardych lekcji, ale udało jej się zbudować sobie nowe życie. Życie, z którego jest dumna. Nie pozwoli go zniszczyć. Praca i opinia to teraz wszystko, co ma.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Droga do domu w towarzystwie Gideona przebiegła gładko. Z nim wszystko przebiegało gładko. Nic się nie tliło pod powierzchnią, żaden cień przeszłości nie kładł się na ich relacjach, ani miłość, ani nienawiść nie zabarwiały ich stosunków.

Zbudowali przyjaźń opartą na wspólnych zainteresowaniach, ożywionych rozmowach i podobnym poczuciu humoru.

Gideon odprowadził ją pod drzwi, ale nie zwlekał z odejściem. Nie oczekiwał zaproszenia do środka ani pocałunku na dobranoc. Uściskał ją i przelotnie pocałował w czoło.

- Mam nadzieję, że poczujesz się lepiej - wymamrotał, i już go nie było.

Została sama. Dzięki Bogu.

Odpychając wspomnienia o Marcu, przebrała się w spodnie od dresu i czarny obcisły top. Następnie nalała sobie kieliszek wina i usiadła na kanapie przed telewizorem, starając się zapomnieć o katastrofalnym dniu.

Gdy na ekranie pojawiły się napisy zapowiadające jej ulubiony TV show, rozległo się pukanie do drzwi. Pomyślała, że Gideon wrócił, bo zostawiła coś w samochodzie.

Otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem.

- Czego tym razem zapomniałam? Jeśli chcesz wejść, możemy się razem napić wina.

Raptownie urwała, widząc, kto stoi na jej ganku.

- Marc? Co ty tu robisz? Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

- Śledziłem cię.

- Śledziłeś? Jezu! Często zachowujesz się jak stalker? - Zaczęła zamykać drzwi.

Uniósł rękę i je przytrzymał.

- Szukałem cię od sześciu lat.

Czyżby się przesłyszała? Powiedział przecież, że jeśli jeszcze kiedykolwiek ją spotka, dopilnuje, żeby ona i ojciec wylądowali w więzieniu.

- Dlaczego to robisz?

Wyraz jego twarzy świadczył o poczuciu winy i lekkiej irytacji.

- To było okropne.

- Chyba już omówiliśmy, co sądzisz na temat tego, co zrobiłam...

- Chodzi mi o to, co ja zrobiłem, o to, że kazałem ochroniarzowi wyrzucić cię za drzwi. Już po chwili tego żałowałem. Próbowałem cię odnaleźć. Poszedłem do twojego mieszkania, ale już tam nie wróciłaś. Martwiłem się, że przeze mnie coś ci się stało.

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć od Marca Duranda. Wpatrywała się w niego, starając się pojąć jego słowa. Nie chciała, aby miały znaczenie, nie chciała, aby cokolwiek przeszkodziło jej odesłać go do wszystkich diabłów. W końcu te słowa przyszły o sześć lat za późno.

A jednak czuła, że coś w niej topnieje. Sześć długich lat zmagania się z mieszanką

zdrady, bólu, żalu i wściekłości. Ilekroć starała się wyzwolić z tych uczuć i żyć dalej, one dławily ją w żelaznym uścisku. A teraz, w jakiś sposób, Marc tymi kilkoma słowami ten uścisk rozluźnił.

Wreszcie mogła głęboko odetchnąć.

- Przepraszam. - Zabrzmiało to tak, jakby połykał żyletki. Nie była zaskoczona. Mężczyźni pokroju Marca nie nawykli do przeprosin.

Stała przed wyborem: może posłać go do diabła albo przyjmując przeprosiny. A ponieważ zawsze rozumiała, dlaczego zrobił to, co zrobił - jej ojciec przecież go okradł - mogła wybrać tylko jedno.

Uchyliła szerzej drzwi.

- Właśnie otworzyłam butelkę pinot noir. Jesteś zainteresowany?

- Jestem bardzo zainteresowany. - Jego głos był tajemniczy i szelmowski. Poczowała przyjemne ciepło w dole brzucha. To ją zdenerwowało. Zaczęła się pocić mimo włączonej klimatyzacji.

- Nie jest tak wykwintne jak wina, do których jesteś przyzwyczajony - powiedziała, wchodząc do kuchni i nalewając mu kieliszek swojego ulubionego pinot noir. - Ale ja je lubię.

Wypił wino jednym długim łykiem i odstawił kieliszek na blat.

- Chcesz jeszcze?

Uwięził ją jak w klatce, kładąc ręce po obu stronach jej ciała i przypierając ją do szafek.

- Nie przyszedłem na wino, Iso.

- Oczywiście... - Głos jej się załamał.

- Nie przyszedłem tu też po to, żeby cię przeproszać. Cieszę się, że to zrobiłem, ale nie dlatego tu jestem.

- Marc... - Wypowiedziała jego imię łamiącym się głosem. - Nie sądzę...

- Nie sądz - uniósł jej podbródek - tylko słuchaj. - Pochylił się i leciutko musnął ustami jej policzek. Czuła na uchu jego gorący oddech. - Nie próbowałem skompromitować cię w pracy.

- Odniosłam takie wrażenie.

- Wiem. To też moja wina. - Ustami znów przebiegł jej policzek, a następnie językiem dotknął kącika ust. - Zły czas, złe miejsce.

Polizał jej wargi, miękko, delikatnie i zachęcająco. Westchnęła raptownie, a on natychmiast to wykorzystał, wsuwając język głębiej.

- Moim jedynym wytłumaczeniem - ciągnął między jednym pocałunkiem a drugim - jest to, że po tylu latach nadal doprowadzasz mnie do szaleństwa. Przy tobie o wszystkim zapominam. - Drugą ręką objął jej pierś. - Zapominam, gdzie jestem.

Serce jej biło szybko, klatka piersiowa unosiła się wraz z każdym urywanym oddechem. A jednak udało jej się zadać pytanie, na które desperacko starała się uzyskać odpowiedź.

- Czy również zapominasz, kim jestem?

- Nigdy nie mogłem o tobie zapomnieć, Iso. A uwierz mi, próbowałem.

Te słowa ją zabolaly, oczywiście, ale była w nich pewna szczerosc, która oslabila jej system obronny, pozwalajac mu rozpacz sie w pyl.

Za uleglosc mogla obwiniac wino albo swa samotnosc, albo szok z powodu jego

widoku po tak długim czasie. Ale prawdą było, że go pragnęła. Zawsze go pragnęła. A jeśli ta noc, ta chwila ma być wszystkim, co pozostanie po Marcu... cóż, to będzie lepsze pożegnanie niż poprzednie.

A więc nie opierała się, gdy obsypywał pocałunkami jej szyję. Zatopiła palce w jego ciemnych jedwabistych włosach i odchyliła głowę.

- Serce tak szybko ci bije - wyszeptał.

- Minęło dużo czasu, odkąd... - Zmusiła się, by zamilknąć, zanim wyjawi zbyt dużo.

Ale on tak łatwo nie ustępował.

- Odkąd co? - Całował to jedną, to drugą pierś.

Nie mogła mu powiedzieć prawdy, nie chciała, by wiedział, jak bardzo kiedyś go kochała - ani od jak dawna z nikim nie była w łóżku.

- Odkąd mnie dotykałeś. Chemia między nami zawsze była niezaprzeczalna.

Przesunęła otwartymi dłońmi po jego piersi. Pozbył się marynarki i krawata, zanim zapukał do jej drzwi, a więc pomiędzy jej palcami a jego gorącą skórą pozostał tylko cienki jedwab, tak samo granatowy jak jego oczy.

Był mocno zbudowany, może nawet zmężniał; skłamałaby, mówiąc, że nie chce go zobaczyć nago, że nie chce pod językiem poczuć żaru jego ciała, sprężystości mięśni. Ale w końcu wrócił jej zdrowy rozsądek. Już raz ją odrzucił, nie zdoła przejść przez to po raz drugi. A więc zamiast rozpinąć jego koszulę, do czego tęskniła, zamiast wsunąć dłonie pod granatowy jedwab i głaskać mięśnie jego torsu, zmusiła się do odwrotu.

- Co ty robisz, Marc?

Oderwał usta od jej szyi.

- To chyba oczywiste, Iso.

Zaczerwieniła się, widząc rozbawienie na jego twarzy.

- Chodzi mi... - Odwróciła głowę, by na niego nie patrzeć. - Nie wiem, czego ode mnie chcesz.

- Dobrze wiesz. - Zajrzał jej w oczy.

Pod tym spojrzeniem czuła się bezbronna. Zmusiła się, by się nie wzdrygnąć, nie zamrużyć, nie spuścić wzroku. Musi wiedzieć, w co się pakuje. Zważywszy przeszłość, mogło to być wszystko - od seksu z zemsty po ponowne prawdziwe zbliżenie. Albo po trosze jedno i drugie.

Zanim mu się odda, musi wiedzieć, o co mu chodzi.

Marc był zawsze sprawniejszy w łóżkowych gierkach niż ona, bardziej doświadczony, lepiej kontrolował swoje reakcje. Lepiej potrafił wyrażać myśli i pragnienia. Dzisiaj też nie było inaczej.

- Pragnę cię, Iso - powiedział, głaszcząc jej plecy w rytmie, który był jednocześnie łagodny i podniecający. - Chcę całować twoje piersi, wziąć do ust sutki i widzieć, jak osiągasz rozkosz.

Westchnęła, nawet nie próbując ukryć podniecenia.

- Chcę paść przed tobą na kolana. Chcę cię pieścić i czuć, jak się podniecasz. Przycisnąć cię do ściany i poczuć, jak twoje wspaniałe nogi zaciskają się wokół mojej talii, a ty wypowiadasz moje imię.

- Marc! - krzyknęła, co zabrzmiało jak żądanie i błaganie zarazem. - Musisz...

- Chcę doprowadzić cię do rozkoszy na wiele sposobów, aż będziesz jęczała, aż...

- Urwał, gdy wsunęła palce w jego włosy i przycisnęła usta do jego warg w tak mocnym pocałunku, że niemal ranił jej wargi.

Nie zwracała na to uwagi. Obchodził ją tylko Marc, chciała przytulić go do siebie, poczuć go w sobie, zaznać z nim spełnienia.

- Tak! - wyszeptała prosto w jego usta, zrywając z niego koszulę. Rozpaczliwie pragnęła dotyku jego skóry.

Marc jęknął, zsunął z siebie koszulę, jednocześnie zdejmując jej koszulkę przez głowę.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał, szorstkimi dłońmi obejmując jej piersi.

Drgnęła w oczekiwaniu wrażeń, które były w jakimś sensie znajome, a jednocześnie zupełnie nowe.

Była to podwójna sensacja - obserwować i czuć, gdy jej dotyka. Pożądanie w niej narastało wraz z każdym ruchem palców wokół jej sutków. Rozszałało się w jej krwi, aż odniosła wrażenie, że płonie. Aż wszystko, o czym mogła myśleć, co mogła czuć albo widzieć, było nim.

W końcu krzyknęła z rozkoszy, chwytając go kurczowo za ramiona. Wygięła plecy i oddała się całkowicie w jego władanie w sposób, w jaki nie oddawała się żadnemu mężczyźnie.

Ukląkł przed nią, ściągając z niej resztę ubrania, a potem przyciskał otwarte usta do jej brzucha i piersi. Gdy zaczęła jęczeć, gdy ręce, które zaciskała na jego włosach i ciele drżały z pożądania, wziął jej sutek do ust i wessał tak mocno, że krzyknęła.

Zrobił to ponownie, a ona dotarła do granicy orgazmu. Walczyła, nie chcąc tak łatwo się poddać, nie chcąc, by tak szybko się skończyło.

Tyle czasu minęło, odkąd Marc ją przytulał, całował, kochał się z nią, że jeśli to ma być jedyna okazja, by znów go mieć, nie zamierzała niczego przyśpieszać.

Wreszcie kolana jej osłabły, chwyciła go za ramiona, by utrzymać równowagę, a jej biodra poruszały się niespokojnie, gdy zbliżała się coraz bardziej do krawędzi.

- Chodź, Iso, chodź - szeptał gorączkowo. - Mam cię, wreszcie cię mam...

Potem jego usta znów znalazły się na jej piersiach, a ona kompletnie się zatraciła. Niezrozumiałe urywane dźwięki wydobywały się z jej ust, gdy wznosiła się na fali rozkoszy.

- Tak, kochanie - ponaglał ją Marc, mocniej ściskając palcami jej sutek.

Dotarła do kresu, jej ciało wygięło się do lotu. Dokładnie tu, dokładnie. Marc delikatnie ją ugryzł, a ona z krzykiem, który zapewne słyszeli sąsiedzi, pędziła w kierunku ekstazy. Potem Marc przycisnął ją do siebie, objął rękami i wtulając usta w jej wilgotną skórę, mamrotał słodkie słowa miłości.

Nie rozumiała, co się dzieje, nie wiedziała, co zmieniło rozżłoszczonego mężczyznę, którym był chwilę wcześniej, w czułego kochanka. Nie pora się nad tym zastanawiać. Nie teraz, gdy jej ciałem jeszcze wstrząsały dreszcze orgazmu. Gdy tak mocno ją obejmował, że czuła na skórze bicie jego serca. Nie teraz, gdy po raz pierwszy, odkąd Marc ją wyrzucił, czuła się spełniona.

Chciała go kochać i być kochaną, nawet jeśli oddawała mu tylko ciało, i tylko jego ciało otrzymywała w zamian. I długie chwile niewyobrażalnej przyjemności.

Dobre choćby i to.

Przez sześć lat nauczyła się, że przyszłość nadejdzie niezależnie od tego, czy się o nią martwić, czy nie. Przed nią cudowna noc, nie pora na rozważania, co będzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O Boże, jak za nią tęsknił. Brakowało mu smaku jej skóry, dotyku ciała. Tęsknił za jej głosem, namiętными okrzykami. Nie było mu łatwo się do tego przyznać, zważywszy, co ich poróżniło. Ale taka była prawda, którą przez długie sześć lat starał się ignorować.

Tę prawdę, podobnie jak samą Isę, desperacko próbował wyprzeć ze świadomości raz na zawsze.

Wziął ją na ręce i przytulił do piersi.

- Którędy do twojej sypialni?

Wpatrywała się w niego zamglonymi z namiętności oczami i choć czuł się tak, jakby miał umrzeć, jeśli za chwilę nie znajdzie się w niej, raz jeszcze pochylił głowę i zawładnął jej ustami.

Zareagowała na niego tak jak zawsze - żarliwie, z ogniem i poddaniem. Całował ją, gdy szedł przez hol, gdy położył ją w poprzek przykrytego czerwona kapą szerokiego łóżka. Całował ją, rozbierając do naga. A potem położył się obok niej i wielbił ją jak kiedyś. Tak jak od dawna pragnął, rękami i ustami smakował każdy centymetr jej słodko pachnącej skóry.

Isa jęknęła, zacisnęła palce na jego włosach. Czuł nagłą potrzebę, ale chciał zobaczyć, jak ona znowu osiąga szczyt. Chciał zatopić się w jej dźwięku, zapachu, dotyku, dając jej tyle rozkoszy, ile mogła znieść.

Przyciskając usta do jej szyi, wessał jej wrażliwą skórę, pozostawiając siniak. Zadrżała, krzyknęła głośno jego imię, wbijając mu w plecy paznokcie.

Przelotny ostry ból wyzwolił w nim rozkosz, o jakiej istnieniu nawet nie wiedział. Zelżał żelazny uścisk, w którym od momentu pocałunku na balkonie utrzymywał swoją samokontrolę. Potem wargami i językiem muskał jej piersi, brzuch i biodra. Chciał znaleźć każdą najmniejszą zmianę na jej ciele, którą wyrzyło ostatnie sześć lat. Pełniejsze piersi, nowe piegi w zagłębieniach łokci, trzy małe blizny w pobliżu pępka, których tam nie było, gdy po raz ostatni się z nią kochał.

Przesunął po nich palcami ciekaw, co się stało. Ale to nie była jego sprawa, Isa już nie była jego sprawą, powinien o tym pamiętać.

- Co ci się stało? - spytał wbrew sobie.

- Gdzie? - Miała głos zduszony, zmieniony rozkoszą.

Rozkoszą, którą on jej dał, pomyślał z ponurą satysfakcją. Nie ten profesorek, który na przyjęciu nie potrafił trzymać z dala od niej rąk.

- Tutaj. - Powiódł palcem po bliznach.

Westchnęła, przesuwał dłonie po jego piersi i bawiąc się sutkami.

- Ostre zapalenie wyrostka.

Jej odpowiedź przepłynęła obok niego, ponieważ poczuł cudowny dreszcz, gdy zaczęła obsypywać pocałunkami jego szyję, ramiona i tors.

- Isa! - To zabrzmiało jak ostrzeżenie.

Nie przejęła się. Przesuwała ustami po jego sutkach, brzuchu, coraz niżej, aż wzięła go do ust, wciągając głęboko i drażniąc językiem. Zdusił przekleństwo, ledwie utrzymując się na drżących ramionach przez kilka długich sekund. A gdy czuł, że zaraz eksploduje, cofnął się z jękiem.

- Co się stało? - zapytała. - Chcę...

- A ja chcę być w tobie, kiedy dojdę - wyszeptał.

Nie wiedział, dlaczego to miało dla niego znaczenie, w końcu rozkosz jest zawsze rozkoszą, ale tak było. Chciał być w niej podczas tego pierwszego razu po długiej rozłące.

Ignorując jej jęk protestu, wstał, by z kieszeni spodni wyjąć prezerwatywę. Chwilę później wrócił na łóżko i przykrył Isę swoim ciałem.

Wsunął rękę pomiędzy jej uda, aby się upewnić, czy jest wystarczająco podniecona.

- Marc, proszę - wydyszała, otaczając go dłońmi w pasie, by przycisnąć go mocniej do siebie.

- Jestem tu, kochanie - wymknęły mu się czułe słówka, gdy się w nią wsuwał. Po tak długim czasie wracał do domu.

Isa z trudem łapała powietrze, jęknęła i wygięła się. Rękami chwyciła go za ramiona, nogami oplotła biodra. O Boże, była cudowna. Ciepła, zachwycająca.

Zatonął w niej, napawając się gotowością, z jaką jej ciało wychodziło mu na spotkanie. Jej głosem, gdy pojękiwała. I tymi pięknymi oczami, gdy ciemniały, kiedy zbliżała się do orgazmu.

On też był blisko, tak blisko, że powstrzymywanie się przynosiło prawdziwą udrękę. Ale chciał, by doszła pierwsza. Chciał widzieć rozkosz malującą się na jej twarzy, chciał czuć, jak przyciska go, przytrzymuje głęboko w sobie.

Isa jęczała niskim, rozpaczliwym głosem, błagając, by skończył. Błagała, żeby pozwolił jej dojść. Ale mimo że pragnął ponad wszystko ulżyć jej i sobie, nie był jeszcze gotów jej na to pozwolić. Nie chciał tego zakończyć.

Tyle czasu minęło, odkąd ją przytulał, chciał więc, by to trwało wiecznie. Kto wie, kiedy znów będą się kochać...

Isa nie pozwoliła mu jednak czekać. Przyciągała go ramionami, nogami i całym ciałem, coraz mocniej i mocniej. Wyciskała gorące pocałunki na jego ustach, szczęce i szyi, aż zostawiła siniak tuż nad obojczykiem.

To był znak, po którym przekroczył granicę. Krzyknęła jego imię, a jej ciało zaciśnęło się wokół niego w takt jego rytmicznych ruchów. Wspiął się na szczyt i nie wiedział już, gdzie jest, ani jak to się stało, ani jak zdoła żyć bez tego. Bez niej.

Przebudził się w lepszym nastroju niż kiedykolwiek. Osiągnął wewnętrzny spokój. Dziwne uczucie. Nie zaznał go od sześciu lat.

Gdy nagle otworzył oczy, zauważył rude włosy Isy rozrzucone na poduszce. Wydarzenia ostatniej nocy wróciły do niego falą wyrazistych i podniecających szczegółów. Gdy jego ciało zareagowało na ten podniecający pokaz slajdów, które przewijały się w jego głowie, zapragnął położyć ją sobie na brzuchu. Wejść w nią znów, gdy raptownie mrugając powiekami, będzie otwierać te swoje cudowne brązowe oczy.

Pragnął jej, pragnął nadal, nawet po spędzonej z nią nocy. Dlatego właśnie zrobił

coś całkiem przeciwnego.

Zsunął się z łóżka, złapał spodnie i na palcach poszedł do kuchni, gdzie, o ile sobie przypominał, zostawił koszulę. Rzeczywiście, leżała tam pognieciona na podłodze obok butów.

Ubierając się, starał się nie myśleć o minionej nocy. Starał się nie myśleć, jak wspaniale się czuł, mając znów Isę w ramionach.

Z inną kobietą nigdy nie będzie mu tak dobrze. Gdy byli razem, kochali się zachwycająco namiętnie. Dzień po dniu, noc po nocy zatracił się w niej. Dla takiego faceta jak on, który miał trudności z zaufaniem komukolwiek, powinno to być przerażające, ale tak nie było. Miał bzika na jej punkcie, nawet sobie nie wyobrażał, że może go zdradzić.

Jednak to zrobiła. A teraz znów wylądowali w łóżku. Tak, seks z nią był fantastyczny. Bardziej niż fantastyczny – namiętny i podniecający.

Ale to nie rozkosz go obudziła, gdy świt powoli rozpościerał tęczowe palce nad oceanem za oknem. Nie, to nie rozkosz sprawiła, że wariował na jej punkcie. Chodziło o to, że po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuł równowagę, spokój ducha, spełnienie.

Nie podobało mu się, że to Isie zawdzięcza ten błogi stan. Nie minęła jeszcze doba, odkąd ujrzał ją w sali wykładowej, a już wylądowali w łóżku. I pragnął to powtórzyć. Rozmyślał, jak ją odzyskać. Na tym polegał kłopot, ponieważ w żadnym razie nie mógł tego zrobić. Nie mógł zapomnieć, że sześć lat temu go zdradziła, że wybrała ojca, człowieka, który go okradł i prawie zniszczył wszystko, nad czym od lat tak ciężko pracował.

Jeśli zrobiła to raz, w trakcie namiętnego romansu, może zrobić to ponownie.

Musi natychmiast odejść, odejść, zanim da się uwieść jej uśmiechowi i zapachowi, zanim urzeknie go znów jej wspaniałe poczucie humoru i jeszcze wspanialszy umysł.

– Nadal tu jesteś. – Miała głos zduszony od snu, ale gdy odwrócił się, jej oczy były szeroko otwarte. – Myślałam, że wyszedłeś.

– Jeszcze nie. Ale zaraz wychodzę. Muszę jechać do biura.

– Jest sobota.

– Wiem, ale ja pracuję w soboty. – Właściwie pracował każdego dnia. – Szczególnie teraz, kiedy podjąłem się wykładów w GIA.

Kusiło go, by do niej podejść, pocałować jej usta nadal obrzmiałe po upojnej nocy, ale prawdę mówiąc, czuł się tak samo niezręcznie jak ona. Bardziej niepewny tego, co powinien zrobić niż kiedykolwiek w życiu.

– Kiedyś nie pracowałeś w soboty. – Głos miała spokojny, a jednak zabrzmiało to jak oskarżenie.

Poczuł się winny, choć przecież nie było powodu. Naskoczył na nią, zanim zdążył pomyśleć.

– Sześć lat temu sądziłem, że zbliżam się do takiego punktu, kiedy będę mógł nieco odetchnąć, zrobić sobie wolny dzień i ufać, że wszystko samo się potoczy. O ile pamiętasz, nie wyszło mi to na dobre. – Nawet nie próbował ukryć gniewu. Jak śmiała oskarżać go o ucieczkę, kiedy to ona go zdradziła? To ona zniknęła z powierzchni ziemi na ponad pół dekady?

Wzdrygnęła się, ale patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Jak długo zamierzasz mnie oskarżać?

Małe jęczyczki gniewu rozbłysły płomieniem.

- W ciągu ostatniej doby wspomniałem o tym dwa razy - odparował, starając się utrzymać spokój w głosie. - A przedtem nie rozmawiałem z tobą przez cholernie długie sześć lat. Może to wyrzuty sumienia przemawiają przez ciebie. Może częściowo czujesz, że zasługujesz na krytykę?

- Może masz rację. - W obronnym geście, świadczącym o dyskomforcie, objęła się ramionami. - Ale to nie oznacza, że źle odczytuję sytuację. - Odetchnęła głęboko, jakby zbierała całą swoją odwagę.

Nagle poczuł wstyd. Nie przyszedł tu, by ją strofować, by ją zdenerwować w jej własnym domu.

- Powiedz to, Iso. Cokolwiek chcesz powiedzieć, wyrzuc to z siebie.

Oblizła usta w sposób, który był mu znajomy.

- Nie rozumiem, o co ci w nocy chodziło. Czy to twój sposób na zemstę? Próbujesz mnie zranić? - Mimo wcześniejszego zdenerwowania wypowiedziała te słowa, jakby to nie było nic istotnego. Jak gdyby przez cały czas czegoś takiego się po nim spodziewała.

Nagle go olśniło. W nocy chodziło o wiele rzeczy - o pożądanie, zazdrość - ale szczerze mówiąc, nigdy o zemstę. Ani wtedy, gdy wyszedł za nią na taras. Ani wtedy, gdy podjął decyzję, by jechać za nią do domu. Na pewno nie wtedy, gdy zdecydował się stanąć na jej progu. Ani razu nie pomyślał o zemście. Może powinien, ale tego nie zrobił. Myślał o niej. Tylko o niej.

Isa wyraźnie odbierała to inaczej: analizowała jego motywy od chwili, kiedy otworzyła drzwi. Poczucił się zraniony. Nie, raczej jak naiwniak wystawiony do wiatru. Już raz przysporzyła mu problemów, niech go diabli, jeśli pozwoli na to znów! Nie jest aż taki głupi!

- Nie nazwałbym tego zemstą - odezwał się po chwili. - Nasz związek zakończył się tak raptownie, że zawsze wydawał mi się... niedokończony. To mi się nie podobało.

- A teraz? - Uniosła brwi.

- Teraz? Wydaje mi się dopełniony.

Takiego właśnie zamknięcia potrzebował. Wiedział, że wszystko z Isą w porządku, że nie stała jej się krzywda, gdy przed laty brutalnie wyrzucił ją z mieszkania. A teraz jej dotknął i zaspokoił swe pragnienie. Wystarczy. Aż nadto. Isa jest bezpieczna. Spędził z nią jedną noc. Pora zamknąć ten rozdział w życiu i iść dalej.

- Dziękuję za tę noc - powiedział i kierując się do wyjścia, przelotnie pocałował ją w policzek. - Było fantastycznie.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała, gdy otworzył drzwi, wyszedł na ganek i zeskakiwał po schodkach. Nadal milczała, gdy szedł do samochodu.

Nie wiedział, co chciał jej powiedzieć, właściwie w ogóle nie wiedział, czego od niej chce. Ale gdy drzwi cicho się za nim zamknęły, zrozumiał, że chce od niej czegoś więcej. O wiele więcej.

Zawsze chciał. A ona nigdy nie była w stanie mu tego dać.

Jest idiotką.

Zamknęła na klucz drzwi za Markiem, odwróciła się i wróciła do sypialni. Najchętniej rzuciłaby się na łóżko i schowała głowę pod kołdrę, ale wiedziała, że to nie pomoże. Problemy same nie znikną.

Jej pościel nadal pachniała Markiem... Wspomnienia ostatniej nocy raniły ją boleśniej niż odłamki stłuczonego szkła. Popełniła błąd. Marc nie należy do ludzi, którzy łatwo wybaczą zdradę, a jednak poszła z nim do łóżka. Oddała mu się, nie zważając na konsekwencje. Nie zastanawiała się, co będzie rano. Czy on jej nie wykorzysta? Cóż, chyba uwierzyła, że cuda czasem się zdarzają.

Uwierzyła, że może być tak jak sześć lat temu, zanim jej ojciec wszystko zniszczył. Zanim mu na to pozwoliła.

Nie mogła znieść widoku pomiętej pościeli. Jak szalona zaczęła zdzierać prześcieradła, koce, zdjęła nawet pokrowiec materaca. Gdy całkiem ogołociła łóżko, zaniósła pościel do małej pralni. Będzie musiała zrobić drugie pranie. Musi pozbyć się wszelkich pamiątek po Marcu. Może w ten sposób wymaże popełniony błąd.

Gdy już skończyła z łóżkiem, zajęła się sobą. Zdała sobie sprawę, że wymazanie Marca z pamięci jej ciała będzie tysiąc razy trudniejsze. W końcu wspomnienia o nim, jego dotyku, zapachu żyły w niej przez długie sześć lat. Teraz, gdy wróciły wezbraną falą, nie była pewna, czy ma siłę się z nimi uporać. Czy ma siłę się go pozbyć...

Zdjęła koszulę nocną, która mimo że spali nago, jakimś cudem przesiąkła jego zapachem, i rzuciła ją na stos przeznaczony do prania bielizny. A potem nago przeszła przez hol i sypialnię, żeby wziąć prysznic.

Czekając, aż woda się ociepli, zerknęła w lustro i... ugięły się pod nią kolana.

Wyglądała jak po nocy spędzonej na dzikich harcach. Włosy miała splątane, skórę zaróżowioną w miejscach, gdzie Marc podrapał ją zarostem, usta opuchnięte, oczy jakby nieprzytomne. I siniaki. Wszędzie – na szyi, na lewej piersi, na biodrze, delikatnej skórze wnętrza ud. To były miłosne ślady Marca na jej skórze.

Jakby potrzebowała przypomnienia, jakby mogła zapomnieć, co jej zrobił, co nawzajem sobie zrobili.

Musi zapomnieć, powtarzała w duchu. Musi głęboko pogrzebać wspomnienia ostatniej nocy, tak aby wchodząc do sypialni, za każdym razem o tym nie myśleć. Albo ilekroć zobaczy go w instytucie.

Przez sześć lat jej życia przewijało się jego nazwisko – w końcu jest ekspertką od diamentów, a jego firma największym ich importerem w Ameryce Północnej.

Przez dłuższy czas udawało jej się je ignorować, zachować dystans pomiędzy tym, co wydarzyło się między nimi a biznesmenem podejmującym tak wiele ważkich i ekscytujących decyzji na tym polu. Teraz, gdy znów się z nim przespała, musi wrócić do stanu poprzedniego: ignorowania wszelkich wzmianek o nim, niewymieniania jego nazwiska, udawania, że on nie istnieje. Przynajmniej przez jakiś czas. Aż będzie w stanie podnieść wysoko głowę. Aż zdoła znów swobodnie oddychać, wyjdzie z szoku.

Tarła ciało do żywego, próbując w ten sposób pozbyć się wspomnienia dotyku rąk Marca. Czyż nie o to chodzi? Przez długi czas udawała, że tamten rok na Manhattanie się nie wydarzył, aż wreszcie osiągnęła spokój, odzyskała zdrowie i poczucie szczęścia. A teraz Marc znów się zjawił i przewrócił jej świat do góry nogami.

Znów musiała przez to wszystko przechodzić.

Był dominujący, miał zmienne nastroje. Nie zamierzała znów iść tą drogą. Kiedyś wydawało się to zabawne, fascynujące, ale wtedy miała do stracenia tylko jego. Gdy wiele lat temu poznała go na tamtym przyjęciu, dryfowała z prądem. Kradzieże pozwoliły jej dostarczać dreszczyku emocji; nie miała niczego, czym mogłaby je zastąpić, aż poznała Marca.

Teraz ma pracę. Przyjaźnie. Własne życie. Zbyt ciężko na nie pracowała, aby wszystko stracić.

Będzie go ignorować. Przelotne skinienie głowy i na tym koniec. Żadnych spotkań, dyskusji i, na litość boską, zero seksu! Jakiegokolwiek relacje z Markiem sprowokują pytania ze strony kolegów, na które nie będzie mogła odpowiedzieć. Pytania, które przywrócą przeszłość, o której nie mogła mówić.

Znana ekspertka w dziedzinie kamieni szlachetnych, kobieta, którą wpuszczano i zostawiano samą w skarbcach na całym świecie, nie może okazać się córką jednego z najslawniejszych złodziei biżuterii.

Nie zaryzykuje dla tego mężczyzny swojej kariery. Nieważne, jak potężna jest między nimi chemia i jak udany seks.

Niektóre rzeczy po prostu nie są jej pisane. Związek z Markiem bez wątplenia do nich należy.

Musi o tym pamiętać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Mamy problem.

Marc podniósł wzrok na Nica, który wszedł do jego gabinetu, jak zwykle nie trudząc się pukaniem.

- Co się stało?

Brat uderzył ręką w biurko tak mocno, że wszystko na nim podskoczyło, łącznie z laptopem Marca i jego kawą. Marc chwycił filiżankę i postawił ją na barku za sobą.

Gdy odwrócił się do Nica, był już opanowany. Miał przeczucie, że będzie tego potrzebował, ponieważ Nic nie przybiegał z każdym drobnym problemem. Owszem, bywał nieprzewidywalny, ale to tylko część jego uroku, dzięki któremu doskonale reprezentował firmę w kontaktach publicznych. Nigdy jednak nie panikował. Tym razem Marc dostrzegł w oczach brata strach.

- Powiedz, o co chodzi?

- Właśnie rozmawiałem z reporterką z „Los Angeles Timesa”. Napisała artykuł, który ujawnia pewne sprawy związane z Bijoux i chciała uzyskać komentarz, zanim artykuł pójdzie do druku.

- A cóż tu jest do ujawniania? - Marc wstał i okrążył biurko. - Kontrolujemy każdy aspekt firmy. Nie dzieje się nic, o czym byśmy nie wiedzieli. Co chce ujawniać?

- Według niej pozyskujemy diamenty z rejonów konfliktu, certyfikujemy je jako pochodzące z zaufanych źródeł, a potem wprowadzamy na rynek za wyższą cenę, żeby zwiększyć zyski.

- To absurd!

- Wiem, tak jej powiedziałem. Mówi, że ma pewne źródło.

- Któż to jest?

Nic przecesał palcami włosy.

- Nie chciała zdradzić.

- Oczywiście, bo to fałszywe źródło. Cała historia jest absurdalna. Wiem, skąd pochodzi każdy transport. Regularnie odwiedzam kopalnie. Numery certyfikatów trafiają prosto do mnie i tylko nasi eksperci, których wybrałem osobiście i darzę całkowitym zaufaniem, mają z nimi do czynienia.

- Powiedziałem jej to wszystko. Zaprosiłem ją na wycieczkę po naszych nowych obiektach, żeby zobaczyła, jak działamy w Bijoux.

- I co odpowiedziała?

- Że próbowała się umówić, ale nasi pijarowcy odmówili. Teraz jest za późno. Artykuł ma się ukazać w piątek, więc chciałaby uzyskać nasz komentarz przed publikacją.

- To za sześć dni.

- Dlatego jestem taki zdenerwowany.

Marc podniósł słuchawkę i wybrał wewnętrzny numer. Ze zniecierpliwieniem cze-

kał, aż ktoś odbierze.

- Hollister Banks.

- Tu Marc. Przyjdź do mnie do gabinetu.

- Będę za pięć minut.

Odłożył słuchawkę i wybrał następny numer.

- Lisa Brown, słucham.

Marc powtórzył swej głównej ekspertce od diamentów to samo, co szefowi zespołu prawników.

- Ale właśnie przysłano nowy transport...

- Zabezpiecz go w skarbcu i przyjdź. - W jego głosie musiało brzmieć zniecierpliwienie, więc się nie spierała.

Lisa i Hollister zjawili się po kilku chwilach. Gdy cała czwórka zebrała się wokół małego stolika po lewej stronie biurka, Nic powtórzył rozmowę z dziennikarką.

- Kim może być to źródło? - spytał Marc Lisę, gdy Nic skończył.

- Dlaczego mnie pytasz? Nie mam pojęcia, kto mógł wymyślić taką fałszywą historię i przekazać ją „Timesowi”. Jestem pewna, że nikt z naszych ludzi.

- Reporterka wydawała się pewna, że to ktoś z wewnątrz. Ktoś, kto ma pozycję i dostęp do wszystkich informacji.

- To niemożliwe, bo to, co mówi ta osoba, nie jest prawdą - stwierdziła Lisa. - Marc i ja jesteśmy pierwszym i ostatnim ogniwem w łańcuchu hierarchii służbowej, jeśli chodzi o akceptację i potwierdzenie, czy są to uczciwie pozyskane diamenty. Nie ma mowy, żeby któreś z nas popełniło taki błąd. Na pewno nie kłamałibyśmy na temat diamentów, żeby zarobić dodatkowe pieniądze. Nawet gdyby ktoś namieszał z kamieniami między mną a Markiem, on by to wychwytał.

- Nie wspominając o tym, że wszędzie są kamery obsługiwane przez dwadzieścia cztery godziny - dodał Nic.

- Marc nalegał, żeby być ostatnim sprawdzającym transporty - ciągnęła Lisa. - To on weryfikuje pochodzenie i numery identyfikacyjne.

- A więc to ja musiałbym być nieczciwy - stwierdził Marc z mdlącym uczuciem w żołądku.

- Ale nie jesteś! - Nic i Lisa wykrzyknęli jednocześnie. - To nonsens!

Ich zaufanie do niego było jedynym jasnym punktem dnia, który z okropnego robił się jeszcze gorszy.

- Do takiego wniosku będą zmierzać - wtrącił Hollister i chociaż w tonie jego głosu słyhać było, że się z tym nie zgadza, ta myśl ciągle go dręczyła.

Dla Marca Bijoux było czymś więcej niż firmą, więcej niż zimnymi kamieniami i jeszcze zimniejszą gotówką. Firmę prawie sto lat temu założył jego pradziadek i do dziś była w rękach Durandów. On sam poświęcił życie na kontynuację tradycji i rozwinięcie Bijoux na drugiego co do wielkości dystrybutora diamentów w świecie. Wprowadził firmę w dwudziesty pierwszy wiek, stwarzając taki model działalności, który nie wykorzystuje ludzi najbardziej potrzebujących ochrony. Żadnego obrotu „krwawymi” diamentami. To było kwestią jego honoru. Oskarżenie o coś, czego nie nawidził, doprowadzało go do wściekłości.

- Musisz położyć kres tym plotkom - zwrócił się do Hollistera. - Za ciężko pracowaliśmy na naszą reputację. Kradzież biżuterii sześć lat temu ją nadwątlila i prawie

doprowadziła nas do bankructwa. To zniszczy wszystko, co Nic i ja staraliśmy się zbudować. Doskonale wiesz, że nawet jeśli wygramy sprawę o zniesławienie, zawsze coś z tego do nas przyłgnie. Nawet zmuszenie „Los Angeles Timesa” do wydrukowania przeprosin nic nie da. Szkoda się stanie. Nie pozwolę na to! – Opanował się z wysiłkiem, by nie uderzyć pięścią w ścianę. – Zadzwoń do wydawcy, powiedz mu, że ta historia to bezczelne kłamstwo i jeśli ją opublikują, wystąpię do sądu.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Zrób wszystko co możliwe. Jeśli będziesz musiał, przypomnij im, że na dzisiejszym niepewnym rynku prasy nie mogą sobie pozwolić na wystąpienie przeciwko Bijoux. Jeśli myślą, że na podstawie źródła, którego nie chcą ujawnić, opublikują bezczelny fałszywy artykuł, czym narażą firmę na miliardowe straty, a ja się nie zemszczę, to są większymi głupcami, niż przypuszczam. A nie rzucam słów na wiatr.

– Ale jeśli się mylisz i zwrócisz przeciwko nam największą gazetę na zachodnim wybrzeżu... – Hollister nie dokończył.

– Nie mogę się mylić. Nie handlujemy „krwawymi” diamentami. Każdy, kto temu przeczy, jest kłamcą.

– Musimy zrobić coś więcej, niż ich zastraszać – wtrącił Nic po chwili ciszy, która nastąpiła po oświadczeniu Marca. – Musimy udowodnić, że się mylą.

– Jak mamy to zrobić – rzekła Lisa – jeśli nie wiemy, skąd czerpią informacje?

– Zatrudniając eksperta od diamentów wydobywanych w rejonach konfliktów wojennych – odparł Hollister. – Zabierzemy go do Kanady, skąd pozyskujemy kamienie, i pozwolimy mu skontrolować kopalnie. A potem zaprosimy go tu i umożliwimy dostęp do wszystkiego, czego zechce. Nie mamy żadnych sekretów. I to udowodnimy.

– Sprowadzenie eksperta tego kalibru może trwać tygodnie – zauważyła Lisa. – Jest zaledwie kilkanaście osób na świecie z uprawnieniami, którzy mogą niezaprzeczalnie potwierdzić pochodzenie naszych diamentów. Nawet jeśli zaproponujemy podwójną stawkę, nie ma gwarancji, że choć jeden z nich będzie akurat dostępny.

– Jeden jest dostępny – wtrącił Nic, obrzucając Marca ostrożnym spojrzeniem. – Ona mieszka tu, w San Diego, i wykłada w GIA.

Do diabła! Nie mógł powiedzieć, że został zaskoczony. Gdy tylko Hollister zasugerował eksperta, Marc wiedział, że na tym się skończy.

– Stary, wyglądasz, jakbyś połknął żabę – powiedział jego brat.

Tak właśnie się czuł, a nawet gorzej. Nie może poprosić Isy. Nie tylko z powodu przeszłości, ale raczej z powodu tego, co zaszło między nimi ostatniej nocy. Roześmiałyby mu się w twarz. Albo celowo ich sabotowała. Nie, nie odda przyszłości firmy w jej ręce.

Nic ze zniecierpliwieniem przewrócił oczami.

– Czy sam nie powiedziałeś, że czas nagli? Isa Moreno jest na miejscu, ma doświadczenie. Jeśli dobrze jej zapłacisz i znajdziesz zastępcę, który poprowadzi jej wykłady, prawdopodobnie będzie mogła nam pomóc. Dobrze się składa.

– Powinieneś do niej zadzwonić – ponaglił go Hollister.

– Zdecydowanie – zgodziła się z nim Lisa. – Zapomniałam, że Lisa Moreno mieszka w San Diego. Spotkałam ją parę razy, to naprawdę urocza osoba. Za wszelką

cenę musimy ją pozyskać. Spróbuję z nią porozmawiać, jeśli chcesz.

Marc nie mógł przerzucić na Lisę odpowiedzialności za załatwienie tej sprawy. To byłby dla Isy policzek nawet mocniejszy od tego, który wymierzył jej rano. Nie mógł jej do reszty zrazić, skoro okazała się jedyną osobą mogącą uchronić Bijoux przed skandalem.

Rozumiał ironię całej sytuacji.

- Sam się tym zajmę - powiedział szorstko.

W jego głosie zabrzmiała pewność, która była trochę udawana. Nie ma wyboru. Nie może się nie udać. Od tego zależy los jego rodzinnego biznesu.

Zrobi wszystko co konieczne, aby przekonać Isę do przyjęcia odpowiedzialności za Bijoux, i za niego samego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Isa rzuciła się w wir szaleńczego sprzątania. Czyściła wszystko, czego mógł dotknąć Marc. Oczywiście wiedziała, że to śmieszne, że umysł płata jej figle, ale wszędzie czuła jego zapach; miodowo-sosnowy aromat unosił się w całym domu. Nie dopuszczała cichego wewnętrznego głosu, że to nie jej dom pachnie Markiem, lecz ona sama.

W pewnej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Niemal go zignorowała, nie była w nastroju do rozmowy z kimkolwiek. Ale gdy dzwonienie stało się natarczywe, podszła i zamaszystym ruchem otworzyła drzwi. Może sąsiedzi potrzebują pomocy...

Zamarła, patrząc w zmrużone oczy Marca.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, zanim zdążyła się zaniepokoić, co go sprowadza.

Co on tu robi? Była pewna, że już nigdy go nie zobaczy, co najwyżej z daleka w kampusie GIA. Naprawdę na to liczyła. Jej uczucia do niego były ciągle zbyt żywe, aby znów spojrzeć mu w twarz.

Jeszcze nie teraz, myślała, starając się odzyskać kontrolę nad szybkim biciem serca. Najchętniej nigdy, ale zdecydowanie nie teraz.

Marc jednak nie zrozumiał jej przesłania. Zaczął znów walić w drzwi. Usłyszała jego nagłą głos:

- Otwórz, Isabello!

Z wolna zaczynała myśleć racjonalnie. Jeśli mu nie otworzy, zdradzi swe uczucia i się skompromituje. Podjęła szybką decyzję. Wytarła spocone dłonie o dzinsy i otworzyła drzwi.

- Cześć, Marc - powiedziała, przywołując na twarz sztuczny uśmiech. - Przepraszam. Przyłapałeś mnie w trakcie sprzątania.

Głos uwiązał jej w gardle; modliła się, by Marc okazał się dżentelmenem i zignorował jej zmieszanie. Co takiego było w Marcu Durandzie, że w jego obecności przestaczała się w speszoną nastolatkę, zakochaną w najpopularniejszym w szkole chłopaku?

Na szczęście Marc tylko uniósł brwi i spytał:

- Mogę wejść?

Nie. Przez ostatnie dwie godziny usuwała ślady jego obecności, a teraz on chce znów wejść i wnieść z sobą ten cudowny podniecający zapach. Nie, nie powinien wchodzić. Ale ku swemu zaskoczeniu, zamiast go odesłać raz na zawsze, otworzyła szerzej drzwi i odsunęła się na bok, by uniknąć zdradzieckiego muśnięcia jego ciała.

- Wróciłeś po skarpetki?

- Skarpetki?

- Eleganckie. - Odchrząknęła z zakłopotaniem. - Znalazłam je podczas sprzątania.

Marc posłał jej zdumione spojrzenie.

- Och, dzięki. Naprawdę nie zauważyłem.

- Nie zauważyłeś, że nie masz na nogach skarpetek? - Z powątpiewaniem zerknęła na jego nagie kostki. - Nie mogę uwierzyć, że twoje buty są aż tak wygodne, nawet jeśli pochodzą od Hugo Bossa.

Zagryzła wargi. Czy mogło to zabrzmieć bardziej obsesyjnie? Nawiązuje do jego „eleganckich skarpetek” i zna markę jego butów.

- Mam inne sprawy na głowie, ważniejsze - odparł, nie reagując na jej aluzje.

Przez jedną krótką chwilę, podczas której zdawało się, że jej serce przestaje bić, pomyślała, że mówi o niej. O nich! Serce jej zamarło, mimo że mózg podpowiadał coś innego. Nie chce go, przypomniała sobie stanowczo. Niemożliwe, żeby on pragnął jej. Nie po tym, co zaszło między nimi zarówno sześć lat temu, jak i dziś rano.

- A więc co tu robisz? - spytała ostro, przywołując się do porządku. - Nie mam czasu na pogaduszki, za dwie godziny jestem umówiona i muszę się przygotować.

- Masz randkę? - Wypowiedział te słowa tak obojętnym tonem, że gdyby nie błysk gniewu w głębi jego oczu, uznałaby je za zdawkowe.

- Tak, mam. - Była umówiona na popołudniowy koktajl w lokalnej galerii z okazji otwarcia wystawy biżuterii jednego ze studentów, ale nie zamierzała wyprowadzać Marca z błędu.

- Z tym profesorem, którego wczoraj widziałem? - warknął.

Wszedł głębiej do holu, a ona cofała się z każdym jego krokiem, aż w końcu przygwoździł ją do ściany. Napierał na nią swym potężnym ciałem, jego oczy błyszcząły, usta wykrzywił grymas niezadowolenia.

Jakaś część niej chciała się poddać, uznać jego oczywistą dominację. Musiała znów przywołać się do porządku. Uniosła głowę i spojrzała na niego z takim samym gniewem w oczach.

- Czy to w ogóle twoja sprawa?

- Tak, to moja sprawa - burknął, po czym położył rękę u nasady jej szyi, a palce na obojczyku i delikatnie zaczął gładzić kciukiem siniak, pamiątkę po ostatniej nocy.

Jego uścisk nie był bolesny ani groźny, tylko władczy i niezwykle podniecający. Starła się nie przyjmować tego do wiadomości.

- Nieprawda.

- Prawda. - Masował ją palcami po obojczyku, zanim powoli przesunął je od szyi do policzka. - To ja kilka godzin temu doprowadziłem cię do orgazmu. To ja sprawiłem, że krzyczałaś z rozkoszy.

Rozbroiły ją i podnieciły te słowa, ale nadal stała, nie chcąc się przyznać, jak mocno na nią działa.

- Możliwe. Ale to ty mamrotałaś coś o zamknięciu i zwiąłeś, ile sił w nogach.

Drugą ręką objął ją w talii.

- Ja nie mamrocę.

- A ja nie błagam o wybaczenie - odrzekła.

- Błagałaś mnie wczoraj w nocy. - Pochylił głowę, jego usta znalazły się przy jej wargach.

Czuła, że jej mięśnie słabną, że opiera się o niego. Gdy objął dłonią jej głowę i wsunął palce we włosy, mało brakowało, a znów by mu się poddała. Tego pragnęło jej ciało. Nagle wezbraną falą powróciły do niej złe wspomnienia zmieszane z bó-

lem, jaki odczuwała dziś rano. Nie podda się, nie ulegnie seksualnemu magnetyzmowi, który Marc roztacza niczym prawdziwy czarodziej.

Gwałtownie wyswobodziła się z jego objęć.

- Jestem pewna, że nie tylko ja błagałam - rzuciła przez ramię, idąc do kuchni.

Sądziła, że ten komentarz go rozzłości, ale Marc tylko głośno się roześmiał. Zdumiała ją i zaniepokoiła ta reakcja. Po raz pierwszy usłyszała jego śmiech, odkąd wczoraj pojawił się na wykładzie, i o dziwo był to śmiech prawdziwie radosny i szczery.

- *Touché!* - powiedział.

Nalała do szklanki lodowatej wody i wypła dwoma dużymi łykami. Gdy odzyskała nad sobą kontrolę, odwróciła się do niego i spytała ostro:

- Po co przyszedłeś, Marc? Dziś rano powiedzieliśmy sobie już chyba wszystko.

Lekko się skrzywił.

- Zachowałem się trochę brutalnie...

- Nie próbuj stosować wobec mnie swoich sztuczek! - warknęła. - Nie byłeś brutalny. Byłeś zdecydowany. Seks ze mną był dla ciebie swego rodzaju kłamrą wieńczącą naszą znajomość. - Oderwała wzrok od jego przystojnej twarzy, by zerknąć na zegar wiszący ponad jego głową. - Czego naprawdę chcesz?

Wpatrywał się w nią tak długo, aż napięcie zrobiło się nieznośne.

- Ciebie - odrzekł w końcu. - Potrzebuję ciebie.

- Czyżby? - parsknęła. - Miałeś mnie już kiedyś, miałeś wczoraj. W obu przypadkach wyrzuciłeś mnie bez pardonu.

- Dziś rano cię nie wyrzuciłem.

- Może nie dosłownie, ponieważ to mój dom - odparła, wzruszając niedbale ramionami - ale w przenośni. Nie ma sprawy, rozumiem. To był ostatni akord, może rodzaj zemsty, cokolwiek. Nadal nie rozumiem, po co przyszedłeś.

Marc długą chwilę ważył słowa. Gdy już porzuciła nadzieję, że powie cokolwiek, rzekł zduszonym głosem:

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy? - Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Tak. - Po raz pierwszy od chwili, gdy ponownie wkroczył do jej domu, cofnął się, tworząc między nimi dystans.

Nie był zazdrosny i nie zamierzał ulec pożądaniu. Był tu, ponieważ potrzebował jej profesjonalnej pomocy, a nie dlatego, że chciał znów z nią iść do łóżka. Przynajmniej tak sobie wmawiał.

Wyciągnęła z szafki kolejną szklankę, nalała do niej wody z lodem i mu podała.

- Wyjaśnij - powiedziała ostro.

Opowiedział jej o artykule, o niebezpieczeństwie, jakie może stanowić dla Bijoux. O tym, że potrzebują opinii eksperta, by potwierdzić pochodzenie swoich diamentów.

Gdy skończył, podniosła na niego wzrok.

- Są inni eksperci. Mogłeś poprosić kogoś innego. Czyżbyś chciał wykorzystać naszą przeszłość, żeby wpłynąć na moją ekspertyzę?

Ogarnęła go wściekłość.

- Nie muszę wpływać na twoją ekspertyzę. Kiedy poznasz tajniki naszej pracy, dowiesz się, że korzystamy wyłącznie z odpowiedzialnych źródeł. Zapewniam cię, że w naszych kamieniach nie ma krwawych diamentów.

- Skąd jesteś taki pewien?

- Ponieważ oglądam każdy kamień, który sprowadzamy. Potwierdzam jego miejsce pochodzenia pod względem geologicznym.

- Każdy kamień? - Nie kryła sceptycyzmu. - Sprawdzasz dziesiątki tysięcy kamieni co miesiąc?

- Nawet więcej. Oglądam każdy z nich.

- Skąd masz tyle czasu? Nie zarządzasz przypadkiem firmą?

- Znajduję czas. Wiem, że mam opinię maniaka kontroli, ale się tym nie przejmuję. Już raz mój biznes niemal upadł, ponieważ się zdekongentrowałem. To się więcej nie powtórzy.

Skrzywiła się. Może niepotrzebnie się uniósł? Powinien skończyć z tym wypomianiem, jeśli liczy na jej pomoc.

Nie odezwała się, nie odparowała tak jak zwykle. Przez chwilę patrzyła na niego z żalem.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała w końcu.

- To znaczy nie chcesz?

- Nie, to znaczy, że nie mogę. Mam dużo zajęć dydaktycznych oraz własny projekt, nad którym pracuję.

- To nie zajmie dużo czasu - przekonywał. - Półtora dnia, maksymalnie dwa na podróż do Kanady, potem dwa dni w mojej centrali na porównanie składu mineralnego diamentów z tymi z kopalń kanadyjskich. Nawet gdybyś zechciała porównać przypadkowe próbki z seriami numerów dostaw oraz dokumentację, nie powinno ci to zająć więcej czasu.

- To optymistyczny scenariusz, jeśli nie znajdę żadnych nieprawidłowości.

- Nie znajdziesz - oświadczył twardo.

Znał swój biznes od podszewki. Nie było sposobu, by diamenty z rejonów konfliktów przechodziły przez Bijoux. W żadnym razie. Razem z Nikiem cholernie ciężko pracowali, by zapewnić sobie odpowiednie źródła.

- Nie możesz tego zagwarantować - powtórzyła.

- Do diabła, mogę. Mój biznes jest czysty. Moje kamienie pochodzą z Kanady i Australii. Można prześledzić ich drogę z kopalni do mnie. Nie ma żadnych nieprawidłowości.

- W ogóle nie pozyskujesz ich z Afryki? Ani z Rosji?

- Nie.

- W obu tych miejscach jest kilka kopalń, z których diamenty są zgodne z Procesem Kimberley.

- Ale nie ma gwarancji, że nie wykorzystuje się tam pracy dzieci. Nie jest również jasne, dokąd idą zyski. Większość kopalń w Kanadzie i Australii, z których korzystam, ma akcjonariuszy, przed którymi składają sprawozdania finansowe. Moje diamenty są czyste jak łza, Iso. Pod tym względem możesz mi zaufać.

- No jasne, jakżeby inaczej! - mruknęła.

Zesztywniał. Nie miała powodu mu nie ufać. Nigdy jej nie okłamał, nigdy nie zdra-

dził. Owszem, zachował się jak dupek, wyrzucając ją od siebie w ciemną noc, ale nie spiskował za jej plecami, nie okłamywał w imię źle pojętej lojalności. To był jej sposób działania.

Chciał jej o tym przypomnieć – w innych okolicznościach by to zrobił – ale teraz potrzebował jej bardziej niż ona jego. Ta świadomość mu doskwierała. Dawno temu przysiągł sobie, że nigdy już nie pozwoli jakiejś kobiecie wejść sobie na głowę, a jednak to robił, ulegając tej samej, która niemal go zniszczyła.

Zamiast więc podjąć walkę, przełknął gorycz.

– To krótkie zlecenie – tłumaczył. – I bardzo korzystne finansowo. Wiem, że zgłaszam się w ostatniej chwili, ale chętnie zapłacę ci podwójną, a nawet potrójną stawkę.

Zachwiała się, jakby wymierzył jej policzek.

– Próbujesz mnie przekupić? Mam potwierdzić, że twoje diamenty są czyste?

– Przekupić? – Nie krył irytacji. – Już ci wyjaśniłem, że nie mam powodu do obaw.

– A więc dlaczego proponujesz mi dodatkową zapłatę? Moja zwykła stawka jest wystarczająco wysoka.

– Jezu, ale jesteś podejrzliwa.

– Musisz przyznać, że mam powody.

Nie, do diabła! Nigdy jej nie oszukał.

– Bijoux nie jest firmą jak inne. I nie mam dużo czasu. Ten kłamliwy artykuł ma się ukazać w piątek. Jeśli nie zdławię oszczerstwa w zarodku, ono może zniszczyć moją firmę. Dlaczego, u diabła, nie miałbym zapłacić ci podwójnej stawki, jeśli podejmiesz się tego zadania? – Tym razem nie krył rozczarowania. Jej brak zaufania ranił go. Koniec, kropka. Niech się dowie.

Ale na Isie nie robiło to wrażenia. Zmrużyła tylko oczy i obserwowała go przez kilka długich sekund.

– Wiesz, że to się nie uda, prawda? – powiedziała w końcu.

– Musi się udać. Zbyt ciężko pracowałem, żeby teraz wszystko stracić.

– Nie chodzi o ekspertyzę. Chodzi mi o wspólną pracę. Musisz znaleźć kogoś innego.

– Nie ma na to szans.

– Dzwoniłeś, próbowałaś?

– Nie.

– A więc skąd wiesz, że nikt nie jest dostępny? Stephen Vardeaux pracuje teraz w Nowym Jorku, a Byron...

– Do diabła! – W końcu stracił nad sobą panowanie. – Co takiego zrobiłem, żebyś myślała, że chcę cię wykorzystać?

– Och, nie wiem. Może dlatego, że rozkochałeś mnie w sobie, a potem wyrzuciłeś?

Zamarł, gdy dotarły do niego te słowa.

– To nie tak...

– Wiem. – Ale wyraz jej twarzy był wymowny.

– Nigdy mnie nie kochałaś.

– Nie mów mi, co do ciebie czułam.

– Nigdy mnie nie kochałaś – powtórzył, lekko zszokowany drżeniem swego głosu.

- Zdradziłaś mnie.

- Nie zdradziłam. Znalazłam się w pułapce, między młotem a kowadłem.

- Będąc ze mną, czułaś się jak w pułapce?

- Nie łap mnie za słówka!

- Może powinnaś pomyśleć, zanim coś powiesz.

- O Boże! - zawołała zniecierpliwiona, po czym podeszła do frontowych drzwi. -

Powiedziałam ci, że to się nie uda. Musisz wyjść.

Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Nigdzie nie idę.

- Tu nie zostaniesz.

- Chcesz się założyć?

- Musisz wyjść!

- Pójdę, jak ty wyjdiesz ze mną.

- Nigdzie z tobą nie wyjdę. Ani teraz, ani nigdy! - Oddychała szybko, jej skóra była zarumieniona. Kosmyki włosów wymknęły się z pospiesznie upiętego wężła i niczym płomienie lizały jej twarz.

Nigdy nie wyglądała tak pięknie, tak kusząco, tak uroczo. Pożądał jej. Chciałby oprzeć ją o najbliższą ścianę i wziąć siłą, aż zapomni o wszystkich pretensjach.

Aż przeszłość nie będzie miała znaczenia.

Aż nic nie będzie miało znaczenia oprócz płonącego między nimi ognia.

Sięgnął po nią, zanim zdążył się powstrzymać. Krzyknęła i złapała go za ramiona. Chciała się do niego przytulić czy go odepchnąć?

Oddychała urywanie, nabrzmiące piersi ocierały się o jego tors. Pragnął wsunąć rękę między jej uda i sprawdzić, czy jest tak samo podniecona jak on.

Ogarnięty pożądaniem, pochylił głowę i już dotykał jej ust, gdy raptownie zapała się o jego ramiona i go odepchnęła, a potem cofnęła się o kilka kroków i wpatrywała w niego szeroko otwartymi oczami.

Nie przyciągnął jej z powrotem, chociaż bardzo pragnął.

- Wyjdz! - powiedziała udręczonym głosem.

- Nie mogę. - Był gotów wyznać, że to jej potrzebuje, co byłoby katastrofą. Ledwie przyznawał się sam przed sobą, że nadal jest nią bardzo zainteresowany.

- Znajdź kogoś innego, kto dla ciebie będzie kłamał - rzuciła mu w twarz. - Ja tego nie zrobię.

Te słowa wyrwały go ze zmysłowej mgły, w której się zanurzył w chwili, gdy jej dotknął. Miał problem, który musi rozwiązać. Tym rozwiązaniem była ona. Nie tylko dlatego, że należała do najlepszych ekspertów w swojej dziedzinie, ale również dlatego, że wbrew wszystkiemu ufał, że go nie oszuka. Wstrząsająca rewelacja po tym, co zaszło pomiędzy nimi! Wiedział, że raz go oszukała, wiedział, że stała obok i patrzyła, jak starał się dociec, kto jest odpowiedzialny za kradzież diamentów, która prawie zrujnowała jego biznes, a potem jak walczyła o zatuszowanie faktu, że to jej ojciec i kryła go przed wymiarem sprawiedliwości.

Ale to było w innym czasie, w innych okolicznościach. Dziś, wpatrując się w jej oczy, wiedział, że go nie wykiwa. Nie teraz. Miał nadzieję, że już nigdy.

- Jesteś mi coś winna - powiedział, zapierając się w miejscu, chociaż popychała go w stronę drzwi.

Zamarła.

- To nie fair.

- Nic mnie to nie obchodzi! Moja firma jest zagrożona. Jesteś mi to winna - powtórzył. - Możesz się zrehabilitować.

Zbladła i mocno zacisnęła usta. Pokręciła głową, cofnęła się o krok, ale wyraz jej oczu świadczył, że prawie ją przekonał.

- Nie mogę tak po prostu wszystkiego rzucić. Mam spotkania, plany...

Jego cierpliwość raptownie się wyczerpała. Niech ją diabli, jeśli odwróci się od niego z powodu jakiegoś innego mężczyzny! Nie po ostatniej nocy. Nie wtedy, gdy stojąc tutaj, błaga ją o pomoc.

- Zmień plany - warknął. - Albo...

- Albo co? - Wyzywająco uniosła głowę.

Do diabła, a więc sugeruje, że ją szantażuje! W porządku, jeśli tego po nim oczekuje, to jej nie zawiedzie.

- Albo ja je za ciebie zmienię. Ujawnię twoją prawdziwą tożsamość, powiem na uczelni, w prasie, każdemu, kto zechce słuchać, kim naprawdę jesteś. No i co wtedy?

- Nie ośmielisz się.

- To się zdziwisz.

- Jeśli to zrobisz, nie dostaniesz certyfikatu.

- Zgodnie z tym, co mówisz, i tak go nie dostanę. Nie mam nic do stracenia.

- Ale z ciebie drań! - Jej oczy płonące dzikim ogniem zaszklily się. Widząc, że doprowadził tę silną kobietę do łez, zastanowił się, czy nie ma jednak do stracenia czegoś więcej, niż myślał.

- Posłuchaj, Iso...

- Zrobię to - przerwała, mijając go. - Ale ty to wiedziałeś od samego początku, prawda?

Czuł ulgę z powodu jej zgody czy raczej niesmak do siebie? Jego ojciec od najmłodszych lat uczył go, by bezpardonowo walczył o swoje. Ale Marc ograniczał swe ambicje, starał się działać łagodnie, nie wywierać nacisków. Aż do dziś.

Ale dziś nie chodziło tylko o niego. Bijoux zatrudnia tysiące ludzi. Co się z nimi stanie, jeśli dopuści, by „Los Angeles Times” zadał firmie druzgocący cios?

Zamilkł, gdy Isa minęła go, przechodząc przez hol.

- Dokąd idziesz? - spytał.

- Spakować torbę. Pasuje?

Skrzywił się, słysząc jej ton. Że też potrafiła wyglądać tak władczo w dresie i podniszczonym T-shircie!

Nie odpowiedział, czuł, że stąpa po polu minowym. Ograniczył się do zwyczajnego „dziękuję”.

- Och, jeszcze nie dziękuj. Jeśli chociaż jeden z twoich diamentów okaże się trefny, osobiście ukrzyżuję cię w prasie. Mam gdzieś twoje pogrożki!

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Znów była pełna ognia, a on cieszył się z tego. Mimo przeszłości, mimo wszystkiego, co ich podzieliło, nigdy nie chciał doprowadzić jej do płaczu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Do której kopalni jedziemy najpierw? - spytała Isa, gdy pilot ogłosił, że za około dwadzieścia minut wylądują w Kugluktuk. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do Marca, odkąd siedem godzin temu wsiedli na pokład prywatnego samolotu w San Diego.

- Dzisiaj do Ekaori, a jutro do Vine Lake i Snow River.

Skinęła głową, tego się spodziewała. Ekaori dostarcza diamenty wielu firmom jubilerskim, tak samo Vine Lake, ale Snow River pozyskuje kamienie tylko dla Bijoux. Najmłodsza z ich kopalni w Terytoriach Północno-Zachodnich, działająca zaledwie od trzech lat, jest własnością i pozostaje pod wyłącznym zarządem Bijoux Corporation. Jeśli było coś podejrzanego, mogło się to wydarzyć przede wszystkim tam.

Podczas zniżania lotu wpadli w potężną turbulencję. Isa próbowała się nie denerwować; w ciągu ostatnich kilku lat latała do Kugluktuk niezliczoną ilość razy i zawsze było tak samo. Znajdowali się około dwustu kilometrów od koła podbiegunowego, gdzie pogoda, nawet w środku lata, bywała kapryśna.

Marc, jak zauważyła, również dokonywał wysiłku, by lekceważyć turbulencje. Nadal pracował. Jedną ręką wodził po panelu dotykowym laptopa, ale drugą dłoń miał zaciśniętą wokół oparcia, jakby jedynie siła jego woli utrzymywała samolot w powietrzu.

Nie dziwiła się, że turbulencje wprawiały go w zdenerwowanie. Był takim maniakem kontroli, że oddanie swojego losu w ręce pilota musiało go irytować.

Bez zastanowienia położyła rękę na jego zaciśniętej dłoni i lekko ją ścisnęła.

Siedział naprzeciwko, a więc gdy raptownie drgnął, ich spojrzenia natychmiast się spotkały. Nic nie powiedział, ona też się nie odezwała, ale czuła, jak odpręża się pod wpływem jej dotyku.

- Zaraz wylądujemy - powiedział niskim głosem.

- Ja się nie denerwuję. - Gigantyczne kłamstwo. Była wręcz podminowana. Co prawda nie z powodu turbulencji, ale dlatego, że była tu z Markiem, a jej ręka nadal spoczywała na jego dłoni i dotykanie go sprawiało jej przyjemność. I mimo krzywd, jakie sobie wyrządzili, jakaś część niej nadal go pragnęła.

Ta myśl jej dokuczała, ścisnęła ją w żołądku, przeszywały ją dreszcze. Postąpiła nierozważnie, wpuszczając Marca do łóżka, ale powtórzenie tego dziś wieczór mogłoby okazać się katastrofalne.

Nie ufał jej, nie pragnął, do diabła, posunął się do szantażu! A więc dlaczego, na Boga, jej ciało tak na niego reaguje? Dlaczego chce go pokrzepić, skoro on nigdy jej nie pocieszał?

Czując się jak naiwne dziewczętko, zaczęła się wycofywać. Nieoczekiwanie Marc przykrył dłonią jej rękę.

- Proszę - powiedział. - Nie.

Spotkali się wzrokiem i wtedy Isa nie zobaczyła już w oczach Marca zdenerwo-

wania, natomiast dostrzegła coś, co sprawiło, że zabrakło jej powietrza. Ogarnęło ją zmysłowe podniecenie.

Powinna się wyprostować, odsunąć możliwie jak najdalej. Ostatnim razem, gdy sprawy między nimi poszły źle – gdy błagała go, by nie wnosił oskarżenia przeciwko jej choremu ojcu – to prawie ją zabiło. Nie spacer w zimowym deszczu, gdy ją wyrzucił, chociaż nie było to zabawne. Tym, co ją dobijało, była świadomość, że nieodwracalnie zraniła Marca.

Z powodu rodziców, którzy zawsze troszczyli się bardziej o pieniądze i pozycję społeczną niż o niego i jego brata, Marc ufał niewielu ludziom. Ale jej ufał, wierzył w nią, a ona w rezultacie podeptała to zaufanie, stawiając ponad nim swego ojca, złodzieja biżuterii.

Do dziś z tego powodu gryzło ją sumienie i często nie mogła zasnąć. Ale co miała począć? Ojciec był stary, słaby, właściwie umierający. Czy mogła się od niego odwrócić? Pozwolić, by spędził ostatni rok życia w więzieniu? To on po śmierci matki ją wychowywał, wprowadzał w świat, pokazywał cudowne miejsca i uczył, że pieniądze nie są najważniejsze. Że ważna jest przygoda, ludzie. Owszem, wciągnął ją w swoje złodziejskie rzemiosło. Gdy poznała Marca, odrzuciła ten styl życia, nie oznaczało to jednak, że mogła odrzucić ojca. Bardzo go kochała.

A więc odwróciła się od Marca, a przynajmniej on to tak odebrał. Błagała, by ją zrozumiał, błagała, by kochał ją tak, jak ona kocha jego, ale na nic się to zdało. Widział tylko jej zdradę.

Za oknem samolotu przesuwawała się ziemia jak okiem sięgnąć porośnięta bujną roślinnością. Gdy pierwszy raz przyleciała do Kugluktuk, również latem, zaskoczył ją brak śniegu i lodu. Wyobrażała sobie, że na północy śnieg nigdy nie topnieje, a tu ziemia była zielona i pełna życia. Temperatura zacznie spadać dopiero na przełomie sierpnia i września.

Oczywiście nie było zbyt ciepło. Gdy po wylądowaniu schodzili na płytę lotniska, temperatura wynosiła około dziesięciu stopni, w dodatku silnie wiało.

Zadrzała, otulając się żakietem. Z tęsknotą pomyślała o wełnianym szalu, który zostawiła na łóżku.

Gdy coś ciepłego musnęło jej skórę, podskoczyła i zerknęła za siebie.

– Weź mój – powiedział Marc, owijając czarny kaszmirowy szalik wokół jej szyi.

– Nic mi nie jest.

– Zaraz zamienisz się w sopel lodu. Jesteś tutaj z mojego powodu, nie mogę dopuścić, żebyś zamarzła. Chodź!

Wziął od niej torbę i kładąc jej dłoń na plecach, poprowadził w kierunku czekającego na nich helikoptera.

Powinna się odsunąć, wiedziała, że powinna. W końcu była ciągle na niego wściekła, że zmusił ją do przyjazdu tutaj szantażem. Powinna wysłać go do wszystkich diabłów, a sama uciekać w przeciwnym kierunku. A już na pewno nie powinna zakładać jego szalika i delektować się jego dotykiem.

Ruszyła szybciej do przodu.

Lot helikopterem do pierwszej kopalni był krótki i mniej trzęsło niż zazwyczaj. Marc miał dostęp do wszystkiego, co najlepsze – łącznie z helikopterem z najwyższej półki, który przypominał luksusową limuzynę.

Podlecieli do Ekaori od północy. Z oddali zobaczyła ogromny okrągły krater odkrywkowej kopalni diamentów. Pierwsze spojrzenie na kopalnię z powietrza zawsze ją zaskakiwało. Ogromna dziura w ziemi, powstała w wyniku wydobywania przez lata diamentów metodą odkrywkową, wyglądała jak wir wyrzeźbiony w granicie. Po wyczerpaniu płytszych złóż zdecydowano się na wydobywanie kamieni z głębokich pokładów.

Gdy usiedli na lądowisku tuż obok głównego budynku, czekał na nich dyrektor generalny. Powitał Marca szerokim uśmiechem.

Mimo że była w tej kopalni pięć razy, nie poznała Kevina Hartforda osobiście. Ale cóż, nigdy nie podróżowała z szefem największej na świecie firmy wydobywającej legalne diamenty.

Po kilku minutach uprzejmej pogawędki udali się do laboratorium, gdzie technicy laserem znakowali kamienie: wypalali na nich numer certyfikatu oraz symbol laboratorium – małego polarnego misia. Był to pierwszy krok z długiej serii procedur, umożliwiający ekspertom oraz klientom prześledzenie drogi diamentu od kopalni do sklepu.

Kevin wręczył jej duży segregator z wydrukiem wszystkich numerów serii wypalonych na diamentach, które przez ostatnie trzy lata przebyły drogę od Ekaori do Bijoux.

Następnie udali się do zakładu, gdzie przesiewa się tysiące kilogramów skał, najpierw mechanicznie, potem ręcznie, w poszukiwaniu kimberlitu, skały, w której powstało najwięcej diamentów. Po odseparowaniu kimberlitu dokonuje się kolejnego, dokładniejszego przesiania, żeby znaleźć właściwe diamenty.

Isa pobrała próbki skały i kimberlitu, by po powrocie do GIA ustalić dokładny skład minerałów. Zastanawiała się, czy to nie jest zbędne. W końcu, podobnie jak wielu innych ekspertów, wielokrotnie już badała skład mineralny skał z tej kopalni. Ale los firmy Marca zależy od tego, czy robi to zgodnie z procedurami. Musi dochować wszelkiej staranności.

Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, a szczególnie po tym, gdy szantażem zmusił ją, by mu pomogła, wiedziała, że jest mu coś winna – za to, co zrobił dla jej ojca oraz za cios, jaki otrzymał. Przynajmniej mogła przeprowadzić perfekcyjne śledztwo w sprawie źródła pochodzenia jego diamentów.

Gdy skończyli prace w laboratorium oraz biurze, zrobiło się za późno, by zjeżdżać do kopalni. Nie szkodzi, była już w tej kopalni wiele razy i nie spodziewała się zobaczyć tam niczego nowego. Zresztą wszelkie prace dokumentacyjne i identyfikacyjne zaczynają się po znalezieniu kamieni i posegregowaniu ich na przemysłowe i jubilerskie.

Marc nie mówił wiele, po prostu odpowiadał na pytania. Gdy wsiedli do helikoptera, odwrócił się do niej.

– Wiem, że nie chciałaś tego robić, ale naprawdę doceniam, że ze mną przyjechałaś – powiedział.

Brzmiało to bardzo szczerze. Nie przestawała zastanawiać się nad jego motywami, nie mogła jednak nie zareagować na ciepło w jego głosie – i w jego oczach.

– Staram się rzetelnie wykonać swoją pracę, Marc.

– Wiem. Niektórzy usprawiedliwiliby cię, gdybyś wykorzystwała tę możliwość, żeby

się zemścić. Mogłabyś mnie zniszczyć, gdybyś chciała. Być może zasłużyłem na to, zważywszy, jak cię potraktowałem.

- Nigdy bym tego nie zrobiła! - Jak w ogóle mógł tak pomyśleć! - Ja nie kłamię, szczególnie w takich okolicznościach...

- Wiem. - Tym razem to on przykrył jej dłoń swoją. - Próbuję tylko powiedzieć, ale wyraźnie kiepsko mi to wychodzi, że jestem ci wdzięczny za pomoc.

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund, kompletnie zmieszana. Taki Marc, skromny, otwarty i miły, który ją przytulał, śmiał się z nią i z którym robiła plany na przyszłość, był mężczyzną, w którym zakochała się przed laty. Chociaż jeszcze dziś rano przysięgła sobie, że już nigdy w jego obecności nie straci czujności, czuła, że zaczyna się łamać.

Właśnie dlatego, ledwie helikopter wylądował w pobliżu jednego z dwóch hoteli w Kugluktuk, szybko zebrała swoje rzeczy i wysiadła. Gdy Marc ustalał z pilotem godzinę jutrzejszego odlotu, poszła do hotelu i zameldowała się w recepcji.

Zanim do niej dołączył, trzymała już w jednej ręce klucze do obu pokojów, a torbę w rzeczami w drugiej. Podała mu jeden klucz.

- Przypuszczam, że zobaczymy się rano - powiedziała ze sztuczną beztroską w głosie.

Uniósł brwi. Na chwilę zabrakło jej powietrza. Dlaczego ciągle jej to robi? Zazwyczaj jednym spojrzeniem lub dotykiem sprawiał, że jej serce biło szybciej. Cofnęła się o krok w próżnym wysiłku, aby stworzyć między nimi jakiś dystans.

- Myślałem, że pójdziemy razem na kolację - odrzekł. - W hotelu jest niezła restauracja, a naprzeciwko w Coppermine Café mają wspaniałego pieczonego kurczaka.

- Jestem trochę zmęczona. Nie spałam dobrze ostatniej... - Urwała, gdy szelmowski uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Oczywiście, że nie spała dobrze. To on jej na to nie pozwolił, budząc ją ciągle, by się z nią kochać. Nawet teraz, tysiące kilometrów od jej małego domu przy plaży, nadal czuła jego zapach na skórze.

- Możemy załatwić to błyskawicznie - zasugerował. - Zaniesiemy bagaże do pokoi i...

- Nie! - zaprotestowała z większą paniką, niż zamierzała. Ale nie była głupia, znała swoje słabości.

Wiedziała doskonale, że jeśli Marc nadal będzie się do niej uśmiechał, nadal będzie jej dotykał, wyląduje z nim w łóżku mimo postanowienia, by zachować dystans. Nie mogła do tego dopuścić, jeśli chciała wyjść z tej sytuacji obronną ręką.

Sześć lat temu rozpaczliwie kochała Marca, musiała jednak wybierać między nim a swoim ojcem - i dokonała jedyne go możliwego wyboru. Ale to nie oznacza, że nie kochała Marca, nie oznacza, że nie rozpaczała, że bez wahania pozbył się jej ze swego życia.

Rozumiała, czym była dla niego ostatnia noc - szansą na definitywne wymazanie jej z pamięci. Nie wolno jej o tym zapominać. Co więcej, musi się pogodzić z faktem, że to koniec. Wystarczy, pomyślała, robiąc kolejny niepewny krok w tył. Tak musi być. Spłaci dług i odejdzie z czystym sumieniem i ocalonym sercem.

Taki miała plan, ale ten plan spaliłby na panewce, gdyby zjadła z nim kolację, wy-

piła kieliszek wina w jego pokoju i spędziła kolejną noc na najbardziej zachwycającym seksie, jaki kobieta może sobie wyobrazić. Och, zaprosił ją tylko na kolację, ale ona go znała. Znała ten wyraz jego oczu, wiedziała, jak pracuje jego umysł, i nie miała złudzeń co do jego zamiarów.

- Zamówię jakąś przekąskę do pokoju i pójdę spać - oświadczyła. - Jestem wykończona.

W jego oczach pojawiło się rozczarowanie. Cóż, nie zdołał jej przekonać.

- W porządku - odrzekł pojednawczo. - W takim razie zabiorę cię jutro na śniadanie. - Ściągnął windę i choć było mnóstwo miejsca, musnął jej bok.

Musi być nieczuła na jego cudowny uśmiech i uwodzicielskie unoszenie brwi. Nie da Marcowi Durandowi kolejnej szansy. Już raz ją unieszczęśliwił - albo ściślej mówiąc, nawzajem się unieszczęśliwili.

Tym razem odmówi sobie przyjemności, a jednocześnie uchroni się od bólu. Uznała to za swego rodzaju kompromis.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Co się dzieje z Isą?

Zerkając w stronę kopalni Snow River Diamond, która należała do Bijoux, Marc powstrzymał grymas niezadowolenia. Przez cały dzień traktowała go prawie jak powietrze. Po tym, co zdarzyło się wczoraj, miał nadzieję, że sprawy pomiędzy nimi ułożą się lepiej.

Och, wczorajszy poranek trudno nazwać dobrym początkiem. W końcu zaraz po wstaniu z łóżka oświadczył jej, że przespał się z nią tylko po to, by wypędzić duchy przeszłości. A potem posłużył się szantażem, żeby mu pomogła. Niezbyt roztropne posunięcie. Była wściekła i trudno jej się dziwić.

Ale w samolocie jakby złagodniała. Widząc, że się denerwuje, próbowała uspokoić go podczas turbulencji. Nawet uśmiechała się do niego, pozwoliła mu się dotknąć, gdy wysiadali. A potem przez cały dzień obserwował, jak z zawiedzionej ekskochanki zamienia się w profesjonalistkę skupioną na swojej pracy.

Jej uprzejmość sprawiła, że poczuł się okropnie; zdecydował się przeprosić ją za to, jak ją potraktował i jej to wynagrodzić. Przyjęła przeprosiny, nawet wydawało się, że zrozumiała jego intencje. Ale potem, gdy chciał zabrać ją na kolację i kontynuować rozmowę, odmówiła. W dodatku zatrzęsnęła mu drzwi pokoju przed nosem. A ponieważ nie miał zwyczaju się okłamywać, musiał przyznać, że to odrzucenie zabolowało.

Czysty absurd. Pogodził się, że jej odmowa uraża jego dumę i działa mu na nerwy, ale żeby go boliała? Tego nie rozumiał. Przecież nie kochał już Isy, od dawna jej nie kochał. Mocno się postarał.

Pożądał jej, to oczywiste, ale który mężczyzna przeszedłby obok niej obojętnie? Była porywającą kobietą, inteligentną, miłą, miała zabójcze ciało i doskonałe poczucie humoru. Ale to wszystko jeszcze nie oznacza, że znów się w niej zakochał. Na pewno.

Wyświadczała mu ogromną przysługę i była w tym, co robiła, fantastyczna. Ale przecież nie jest na tyle głupi, by znów jej w pełni zaufać.

Obserwował, jak zauroczyła dyrektora generalnego Pete'a Jenkinsa, marudnego starszego człowieka. Aż do tej pory Marc uważał Pete'a za kompletnego sztywniaka, a Isa rozbroiła go w ciągu godziny. Kilka uśmiechów, kilka właściwych słów i weteran przemysłu diamentowego jadł jej z ręki.

To podziałało na Marca jak groźne memento. Przed laty bez problemu owinęła go sobie wokół palca. Nie wystarczyło mu czujności, by zachować dystans.

Gdy szła do helikoptera, który miał zawieźć ich na lotnisko, prawie biegł, by ją dogonić, prawie złapał ją za rękę i obrócił do siebie. Do diabła, pewnie by to zrobił, gdyby Pete nie zawołał go po imieniu.

Tłumiąc zniecierpliwienie, które zaczynało przeradzać się w furję, Marc odwrócił się do dyrektora kopalni.

- O co chodzi, Pete?

- Zastanawiałem się, czy nie miałbyś czasu rzucić okiem na plany rozbudowy kopalni. Co prawda mamy jeszcze osiemnaście miesięcy, zanim wyczerpią się złoża odkrywkowe, ale czas najwyższy zacząć budować podziemne tunele, jeśli nie chcemy w nieodległej przyszłości zamknąć jej z hukiem.

- Oglądałem plany - odrzekł lakonicznie Marc. - Do kilku szczegółów mam zastrzeżenia, odesłałem je z powrotem inżynierom. Mają nanieść poprawki w ciągu dwóch tygodni. Wtedy o tym porozmawiamy.

Pete podrapał się w zamyśleniu po podbródku.

- Chodzi o rozmiary wyrobisk, prawda?

Marc skinął głową, wcale nie zaskoczony, że Pete dostrzegł ten sam problem.

- Odstępy są za duże. To zdaje egzamin w Ekaori i innych kopalniach, ale w tej części Terytorium skały kimberlitu mają inne kształty.

- Plan, według którego chcieli wykopać tunele, byłby zbyt kosztowny.

- Zgadza się. Moi geologowie są zaniepokojeni, że przy tego rodzaju podłożu powstałby prawdziwy labirynt. Tu jest inaczej niż w Ekaori. Obawiam się groźby osunięcia, a jak wiesz, bezpieczeństwo pracowników jest dla mnie najważniejsze.

- Dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Domyślałem się, że mamy podobne zdanie, ale nigdy nie zaszkoździ sprawdzić.

- Oczywiście - przyznał Marc. - Nigdy nie szkodzi sprawdzić.

Skinął Pete'owi głową i skierował się do helikoptera. W głowie brzmiały mu pożegnane słowa dyrektora kopalni. Warto dopilnować, by obie strony miały takie samo zdanie, szczególnie gdy jedna z nich jest upartym rudzielcem obdarzonym błyskotliwym umysłem i wspaniałym ciałem.

Podczas lotu helikopterem na lotnisko Isa nadal traktowała go chłodno. Był to krótki lot. Siedzieli w tej samej kabinie co pilot, nie było okazji do prywatnych rozmów. Poczekaj, aż znajdą się na pokładzie samolotu, gdzie będzie miał mnóstwo prywatności i czasu, by zorientować się, dlaczego zaczęła go unikać. A już się łudził, że dokonali postępu we wzajemnych relacjach.

Zada jej pytania, na które będzie musiała odpowiedzieć. Jeśli sprawy dotyczą biznesu, nie może mu odmówić podzielenia się swoimi myślami. Przecież to podróż służbowa.

Gdy w samolocie zapinali pasy przed startem, zagotował się z wściekłości. Usiadła jak najdalej, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem.

- Do diabła, co się z tobą dzieje? - Rozpiął pas i podszedł do niej, gdy samolot poderwał się do góry.

- Co ty wyprawisz? Musisz usiąść!

- To ty musisz przestać traktować mnie tak, jakbym był skrzyżowaniem Kuby Rozpruwacza i Attyli.

Gdy samolot wpadł w turbulencje, tylko ogromną siłą woli utrzymywał się na nogach i krzyżując ramiona na piersi, patrzył na nią z góry. Kilka sekund później sytuacja się powtórzyła.

- Mówię poważnie, Marc. Zrobisz sobie krzywdę.

- Ja też mówię poważnie, Iso. Ale twój niepokój o mnie jest co najmniej dziwny, skoro przez cały dzień udawałaś, że nie istnieję.

- Nieprawda.

- Absolutna prawda i chcę wiedzieć dlaczego. Jeśli jesteś na mnie wściekła, zrozumieć. Masz do tego prawo, ale nie ignoruj mnie. Nakrzyycz na mnie, nazwij mnie sukinsynem, jeśli masz ochotę, ale mnie nie ignoruj!

- Nie jestem na ciebie wściekła.

- Doprawdy? - Uniósł brwi. - Tak to wygląda z miejsca, na którym siedzę.

- Ty nie siedzisz. W tym cały problem.

Znow samolot podskoczył i zachybotał. Jednocześnie przez interkom pilot przypomniał, żeby pozostali na swoich miejscach.

- Słyszysz? - rzekła ostro Isa. - Musisz usiąść!

Przysunął się bliżej i pochylił niebezpiecznie blisko nad jej twarzą.

- Musisz ze mną porozmawiać.

- Do diabła, Marc! - Wyciągnęła rękę i rozpostarła dłoń na jego piersi, jakby chciała go odepchnąć.

Poczuł żar na całym ciele. Przykrywając jej rękę własną dłonią, próbował zignorować fakt, jak bardzo się podniecił od samego jej dotyku.

Isa wstrzymała oddech, jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie. W dodatku skórę miała zaczerwienioną, jej dłoń przyciśnięta do jego serca drżała. Nie trzeba być geniuszem, by zauważyć, jak bardzo jest podniecona.

- Iso... - Splótł jej palce ze swoimi. - Porozmawiaj ze mną.

Odwróciła głowę i popatrzyła przez okno na niebieskie niebo, przez które przebijali się wśród chmur. Mimo późnej pory, bo dochodziła dziesiąta wieczorem, tutaj, niedaleko koła podbiegunowego, było jasno jak w dzień.

Przez długie sekundy w milczeniu podziwiała widok. Nie chciał jej naciskać, czekał, aż znajdzie potrzebne słowa. Często tak się działo, gdy się kłócili - on nalegał, a ona w odpowiedzi milczała, aż znalazła dostatecznie dobry argument.

Ale tym razem zdobyła się jedynie na cichy szept:

- Nie chcę tego robić.

- Nie chcesz ze mną rozmawiać? - Przysunął się bliżej, aż jego twarz znalazła się tuż nad jej twarzą. - Wczoraj myślałem, że będziemy mogli zostać...

- Kim? Przyjaciółmi? Po tym wszystkim, co wydarzyło się między nami, myślałeś, że po prostu przeprosisz i ot tak, zostaniemy przyjaciółmi?

Zajadłość w jej głosie ostudziła jego zapały. Cofnął się. Może źle ją odczytał? Może oznaki, które uznał za podniecenie, świadczyły raczej o gniewie? Nie, to bez sensu. Gdy jej dotknął, straciła oddech. Tak cudownie reagowała, gdy byli razem w łóżku...

- Przyjaciele to może pewna przesada - przyznał po kilku sekundach milczenia - ale pomyślałem, że może...

W tym momencie pilot oznajmił, że samolot osiągnął pułap lotu i mogą się przebrać na kanapy. Isa poderwała się z miejsca i w pośpiechu prawie wpadła na Marca.

Nie zamierzał tak łatwo ustąpić.

- Dokąd uciekasz? - Chwycił ją za nadgarstek i obrócił do siebie.

- Byle dalej od ciebie - wymamrotała.

- Trochę na to za późno, prawda? - Zaczął napierać na nią całym ciałem.

Cofała się w wąskim przejściu między rzędami foteli, aż w końcu dotarła do ściany.

- Dlaczego to robisz? - spytała zduszonym głosem.

- Bo nigdy nie przestałem cię pragnąć - wymknęło mu się bezwiednie. - I nie sądzę, żebym kiedyś przestał.

- To nie wystarczy - odparła, ale odchyliła głowę do tyłu i przywarła do jego piersi.

Przez cienki materiał bluzki i swoją koszulkę czuł jej sutki, nabrzmiałe i twarde jak diamenty. Jęknął, potarł torsem jej piersi raz i drugi, a potem znów, aż jej oddech stał się urywany.

- To więcej niż dość. - Drżący oddech opuszczający jej usta docierał do jego warg. - Tak było zawsze. I tak będzie.

- Marc... - wypowiedziała jego imię raczej błagalnie niż w proteście.

- Mam cię, Iso. Mam cię, kochanie - wyszeptał, zanim zawładnął jej ustami.

Nie powinna mu na to pozwolić, ale gdy jego język delikatnie drażnił jej język, przestała myśleć. Nie obchodziła jej przeszłość ani przyszłość, ani jak bardzo to będzie bolesne, gdy samolot wyląduje i znów zostanie sama. Obchodziło ją wyłącznie to, co teraz czuje i co czuje Marc.

Wyciągnęła ramiona, objęła go za szyję i przytuliła się do niego całym ciałem.

- Iso, kochanie - wyszeptał w jej usta. - Pragnę...

- Cokolwiek zechcesz. - Obrzucała gorącymi pocałunkami jego twarz, szyję oraz wrażliwe miejsce za uchem.

Na taką reakcję czekał. Objął jej biodra, chwycił dłońmi pośladki i unióś ją do góry.

- Marc... - Był to jęk, prośba, rozpaczliwe błaganie o więcej, gdy obejmowała go nogami w pasie i przytulała się do niego.

Jego usta były gorące, natarczywe. Przeszedł przez drzwi na tył samolotu. Była tu mała sypialnia z dużym łóżkiem z szarą jedwabną pościelą i czarną kapą.

Gdy ją niósł, napawała się jego siłą, dotykiem twardych mięśni na swoim miękkim ciele.

Nagle bez ostrzeżenia, bez uśmiechu, rzucił ją na środek łóżka. Westchnęła raptownie z powodu upadku i nagłej rozłąki z mężczyzną, w którym z pewnością nie powinna ponownie się zakochiwać.

Powinna być mądrzejsza, a mimo to wyciągnęła ręce, wplątując palce w miękki materiał jego koszulki. Nic jej to nie obchodziło, bo teraz Marc tu był, podniecony tak samo jak ona.

Pociągnęła go na siebie, a potem przekręciła się, obejmując go udami i patrząc na niego z góry.

- Teraz moja kolej - powiedziała lekko zdyszonym głosem.

Unióś kokieteryjnie brwi.

- Wyglądasz, jakbyś chciała, żebym zaprotestował.

- A nie chcesz?

Uśmiechnął się ironicznie, a to drobne skrzywienie ust sprawiło, że przeszyła ją fala gorąca.

- Siedzisz na mnie, taka ciepła... - wsunął palce między jej nogi - i gotowa. Dlaczego miałbym protestować?

Zdawało się, że chce powiedzieć coś więcej, ale pochyliła się do przodu i powstrzymała go pocałunkiem. A potem zdzierła z niego koszulkę, rozpaczliwie pragnąc jak najszybciej poczuć ciepło jego skóry. Po chwili dotykała jego ramion, pięknie uformowanych mięśni torsu oraz brzucha.

Westchnął i zadrżał, gdy jej palce i język wniknęły poniżej paska dżinsów.

- Iso, kochanie...

- Mam cię - powtórzyła jego wcześniejsze słowa, rozpinając pasek, a potem dżinsy.

Zsunęła się na podłogę obok łóżka, zdjęła mu buty, spodnie i bokserki, aż w końcu leżał przed nią cudownie doskonale nagi. Wymamrotał jakieś przekleństwo, sięgnął po nią, ale ona pokręciła głową i odepchnęła jego rękę.

- Teraz moja kolej - powtórzyła, zanim wzięła go do ust.

Jęknął niskim udręczonym głosem i wsunął palce w jej włosy, podczas gdy ona cofnęła się i zaczęła obsypywać go pocałunkami. Wiedziała, czego chce, o co błaga jego ciało, jednak nie była na to gotowa, jeszcze nie.

Ale gdy ujął jej brodę w swoją dłoń, przekrzywiając głowę tak, że mógł spojrzeć na nią z góry, straciła resztki siły woli. Pochyliła się niżej i wzięła go głębiej do ust.

Jej imię zabrzmiało jak ochryply okrzyk, gdy wygiął się i drżał. Minęło wiele czasu, odkąd robiła to mężczyźnie, dokładnie ponad sześć lat, ale nadal pamiętała, co Marc lubił najbardziej. Nadal pamiętała jego smak, gdy wytryskał na jej języku. Chciała tego znowu doświadczyć.

Był blisko, ale ciągle się powstrzymywał. Pogładziła palcami jego napięty brzuch, ale wtedy chwycił jej rękę i mocno ją przytrzymał, a drugą przyciągnął z powrotem jej usta do swoich.

- Chcę cię czuć - zaprotestowała z lekkim niezdecydowaniem, ponieważ głąskał jej piersi, ściskając sutki palcami.

Westchnęła głęboko, wyginając się ku niemu. Takiej zachęty potrzebował. Ukląkł przy niej i całował ją powoli, zachłannie. Przez długie sekundy nie była w stanie się poruszyć, myśleć, nawet oddychać. Była jak urzeczona, chciała, aby ta chwila trwała wiecznie.

Następnie ją uniósł i położył na łóżku.

- Marc - wyjąkała, desperacko chwytając go za ramiona i próbując go powstrzymać.

Sprawianie mu przyjemności doprowadziło ją samą do granic wytrzymałości. Musiała poczuć go w sobie. Ale Marc miał inne pomysły. Pochylając się, przycisnął gorące usta do jej lechtaczki. Straciła resztkę siły woli, zatraciła się, wyginając ku jego ustom, tym cudownym ustom. Wsunął ręce pod nią, ujął w dłonie jej pośladki. Nie było już ucieczki, nawet chwili na złapanie oddechu. Był tylko on, Marc, i szalona rozkosz, którą jej dawał.

Zanim oderwał się od niej, by założyć prezerwatywę, pogrążyła się w bezwładnym chaosie, całkiem tracąc nad sobą panowanie. Błagała, prosiła, obiecywała mu wszystko, żeby tylko...

Ledwie wśliznął się w nią, przyciskając usta do jej warg, przekroczyła krawędź,

zabierając go z sobą.

Nigdy nie było tak cudownie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W głośnikach rozległ się głos pilota:

- Lądujemy za pół godziny.

Isa poruszyła się, ale nie obudziła. Marc, podparty na łokciu, wpatrywał się w nią jak urzeczony.

Była piękna.

Tak naprawdę zawsze była piękna - z jasną skórą, ciemnymi oczami, wspaniałymi włosami i fantastycznym ciałem. Ale gdy spała, wyglądała jeszcze bardziej pociągająco. Może dlatego, że od chwili, gdy wkroczył do sali wykładowej, był to jedyny moment, gdy widział ją prawdziwie zrelaksowaną.

Może to urocze zagłębienie w dolnej wardze sprawiało, że wyglądała tak kusząco? A może delikatny różowy rumieniec na zazwyczaj białych policzkach? Albo sposób, w jaki zaciskała rękę na jego ramieniu, jakby nawet we śnie próbowała go zatrzymać?

Bóg wie, że nie zasnął z tego powodu. Obawiał się, że gdy zaśnie i potem się obudzi, okaże się, że ta czułość i namiętność były jedynie ulotnym snem. Albo w jakiś sposób, gdy złagodzi uścisk, wymknie mu się przez palce jak kimberlitowy szlam.

Nie chciał, żeby tak się stało. Właściwie nie wiedział, czego chce. Naprawdę nie wiedział, co czuje do Isy poza pożądaniem, które go nie opuszczało. Nieważne, ile razy ją miał, nadal jej pragnął. Ciągle jej pożądał, nawet teraz. Nie był gotów, by pozwolić jej odejść.

Czyżby oszalał na jej punkcie? Gdy tak leżał, obserwując ją i dotykając jej, przeszłość nie wydawała się już tak ważna jak kiedyś. Nic nie miało znaczenia oprócz Isy i tego, jak cudownie się przy niej czuł.

Otrzeźwił go głos pilota.

- Za kwadrans lądujemy. Musicie zająć miejsca, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście.

Marc włączył interkom.

- Za pięć minut, Justin.

Obudził Isę, delikatnie potrząsając ją za ramię. Czekoladowe oczy popatrzyły na niego ze zmieszaniem.

- Przepraszam, kochanie. Zaraz lądujemy i musimy się ubrać.

Zamrugła i potarła powieki. Odgarnąwszy z twarzy gęste włosy, powoli usiadła. Zastygł, gdy zobaczył, że prześcieradło zsuwa się z niej i owija wokół bioder.

Wyglądała jak bogini. Jak senne marzenie.

Rozespane oczy, obrzmiałe usta, zarumienione policzki. Tak, wyglądała jak najwspanialsze fantazje, jakie kiedykolwiek przewinęły mu się przez głowę. Jej długie bujne włosy bezładnie opadały jej na ramiona. Podziwiał różowe jak truskawka sutki, łagodny zarys piersi. Chciał je pieścić, wziąć sutek między wargi i usłyszeć jeszcze raz, jak Isa wydaje z siebie nierówne zdyszane dźwięki.

Już pochylał się do przodu, skupiając wzrok na nagrodzie, gdy uderzyła go lekko

w pierś.

- Za ile lądujemy? - Głos miała zduszony.

Uśmiechnął się szeroko, znów czując przyływ podniecenia.

- Och, nie zdążymy z kolejną rudną! - Niezdarnie wygramoliła się z drugiej strony łóżka.

Miała rację. Ale było coś niewiarygodnie seksownego w obserwowaniu, jak zaspokojona kobieta ubiera się, jak powoli i leniwie wsuwa dzinsy oraz wkłada sweter. Uwielbiał biel jej skóry, kochał jej piersi, brzuch i uda, na których widać było drobne ugryzienia i ślady po jego zaroście. Podobało mu się, jak wygląda po seksie z nim. A jeszcze bardziej, że wygląda, jakby do niego należała.

Opanował się wreszcie, sięgnął po spodnie i włożył je zamasyście. Pożądanie Isy, kochanie się z nią to jedna sprawa. Do diabła, nawet martwy będzie jej pożądał.

Ale myśl o tym, by znów należała do niego - o, to jest zbyt niebezpieczne.

- Proszę... - Głos Isy wyrwał go z zamyślenia.

Zdał sobie sprawę, że podaje mu koszulę. Patrzyła na niego trochę dziwnie, ale nie chciał się nad tym zastanawiać. Nie teraz, gdy w jego głowie kłębiło się tak wiele sprzecznych myśli.

W ciszy kończyli się ubierać, ale gdy Isa otworzyła drzwi, by wrócić na swoje miejsce, chwycił ją w talii i przyciągnął do siebie. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł wyznać, że ją kocha, ale też nie chciał zbagatelizować tego, co między nimi zaszło zdawkowym „och, było super”. A więc zamiast słów postanowił działać: po prostu lekkimi pocałunkami obsypywał jej policzki i szyję.

Odprężyła się i wtuliła w niego. Przerwał im głos Justina, przypominający, by zajęli miejsca.

Gdy usiedli, Isa sięgnęła po jego rękę. Tym razem nie z powodu turbulencji.

Godzinę później pomachała Marcowi odjeżdżającemu sprzed jej domu. Ręce jej drżały, w gardle ją dławiło.

Co najlepszego zrobiła? - zastanawiała się, zamykając drzwi. Co robi? Co sobie myśli? Jeśli w ogóle myśli... Można by to nazwać emocjonalnym samobójstwem, albo co najmniej głupotą, ale myśleniem? Nie, to nie było myślenie. Rozpaczliwie się bała, że gdzieś na północy Kanady postradała rozum.

Wyjechała z domu ponad dobę temu z mocnym postanowieniem, że Marc już nigdy jej nie dotknie. A teraz rankiem o niczym innym nie myślała, tylko o Marcu i swoim przyjemnie obolałym ciele.

Zamknęła oczy przed bombardującymi ją obrazami Marca. Na niej, pod nią, na kolanach u jej stóp. Jego dłonie na jej biodrach, piersiach, jego usta błędzące po jej brzuchu. Całował ją, brał w posiadanie, kochał się...

Nie! Zablokowała te myśli. Bez względu na chemię, jaka między nimi istniała, nie może posunąć się dalej.

Miłość jest zbyt bolesna, nauczyła się tego sześć lat temu. Kochała go wtedy, a w rezultacie skończyła ze złamanym sercem. Tym razem będzie mądrzejsza. Nie pozwoli, by jej serce i dusza w całości zależały od niego.

Gdzieś głęboko w środku cichy głos podpowiadał, że jest już za późno, bo to zaszło za daleko. Ale odrzuciła te podszepty.

Zaniosła torbę podróżną do sypialni, postawiła ją przy toalecie i padła twarzą na łóżko.

Z twarzą wtuloną w poduszki ledwie mogła oddychać, ale nie miała siły, by choć odwrócić głowę. Była piąta trzydzieści rano, o ósmej zaczynała wykłady – jeden po drugim, co zwykle jej odpowiadało, ponieważ wcześniej kończyła zajęcia. Ale toaleta, ubranie się i wyjście z domu o siódmej wydawało się dziś torturą. Od trzech dni prawie nie zmrużyła oka.

Winą za to mogłaby obarczyć Marca. Był odpowiedzialny również za sobotnią bezsenność, gdy wpatrywała się w przybrudzony hotelowy sufit. Czterdziestopięciominutową drzemkę po tym, jak kochał się z nią w samolocie, trudno uznać za sen.

W tylnej kieszeni zabrzączał telefon. Sięgnęła po niego wbrew zdrowemu rozsądkowi oraz protestowi obolałych mięśni. Zerknęła na otrzymanego esemesa. Od Marca. Oczywiście, ktoś inny pisałby do niej o piątej trzydzieści rano w poniedziałek? W ten szczególny poniedziałek.

„Jeszcze raz dzięki za wyjazd do Kanady”.

Podziękowania za wyjazd? Kilka sekund wpatrywała się wyczekująco w wyświetlacz. To nie może być prawda. Jak mógł po tym, co się między nimi wydarzyło, wysłać taki idiotyczny tekst?

Czekała kolejną minutę ze ściśniętym żołądkiem.

Właściwie czego oczekiwała? Co w takiej sytuacji miał napisać?

Odłożyła telefon i ukryła twarz w poduszkach. Cholerny aparat zabrzączał jeszcze trzykrotnie.

„Do zobaczenia w biurze Bijoux dziś w południe”.

„To znaczy, jeśli wszystko nadal aktualne”.

„Naprawdę spędziłem miło czas. Mam nadzieję, że ty też”.

Miło spędził czas? Co to, u diabła, ma znaczyć? Spacer w parku można uznać za miłe spędzenie czasu, ale fantastyczny wyrafinowany seks to chyba coś więcej?

Czy Marc nie powinien o tym wiedzieć?

Zastanawiała się nad wysłaniem mu równie nijakiej zdawkowej odpowiedzi. Powinna napisać, że także „miło spędziła czas” i ma nadzieję, że czasem wpadnie na niego w GIA. To by mu dało myślenia.

Ale ostatecznie tego nie zrobiła. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty na takie gierki. Nie należała do ludzi, którzy lubią odpłacać pięknym za nadobne.

Dlatego tak dobrze dogadywali się z Markiem, gdy byli razem. On również nie uciekał się do forteli. Był otwarty i szczery, przynajmniej do tej pory. Dopóki nie przysłał tej idiotycznej wiadomości.

Chociaż padła na łóżko z nadzieją, że prześpi się choć godzinę, zanim pójdzie do pracy, teraz czuła się zbyt zraniona, by nawet o tym myśleć. W głowie jej wirowało z prędkością stu kilometrów na godzinę, gdy próbowała zrozumieć, jak to się stało, że popełniła taki błąd i spędziła z nim nie jedną noc, ale dwie.

A więc zamiast się zdrzemnąć albo wysłać mu odpowiedź, albo choć zrelaksować się po wyczerpujących pod względem mentalnym i fizycznym trzydziestu sześciu godzinach, zmusiła się, żeby wstać i wziąć prysznic.

Wysuszyła włosy, pospiesznie wykonała delikatny makijaż oczu oraz lekko podkreśliła usta szminką, po czym zasiadła przy kuchennym stole z laptopem i filiżanką kawy. Gdy zebrała wszystkie dane na temat diamentów z Kanady, łącznie ze strukturą zanieczyszczeń w różnych kopalniach, przystąpiła do właściwej pracy.

Oprócz numeru serii i symbolu kopalni gemmolog często poprzez ustalenie składu zanieczyszczeń określa pochodzenie diamentów. Na przykład afrykańskie diamenty są zanieczyszczone pewnymi rodzajami siarczków, podczas gdy rosyjskie głównie azotem. Kanadyjskie diamenty mają ich niewiele albo są całkiem od nich wolne. Dzięki temu produkcja kanadyjskich kopalni, stanowiąca zaledwie trzy procent światowego rynku, przynosi ponad jedenaście procent zysku.

Pozostaje zatem ustalić, czy diamenty sprzedawane przez Bijoux pochodzą właśnie z tych kopalni.

Najpierw trzeba sprawdzić numery seryjne szerokiego asortymentu diamentów ze skarbca Bijoux.

Isa miała segregator, a na pendrivie numery serii. Zebrała całą dokumentację dotyczącą czasu i pokładów, z których kamienie były wydobywane wraz z dokładnymi datami, kiedy dany pokład uznano za wyczerpany. Potem upewniła się, czy ma kompletny skład mineralny skał z poszczególnych poziomów. W większości przypadków ten skład jest podobny lub identyczny, ale co jakiś czas jeden z niższych pokładów znacząco się różni. Jutro, gdy będzie w laboratorium, porówna pobrane próbki, a potem przyjrzy się diamentom z Bijoux i określi ich źródło pochodzenia.

To ważny krok, ale nie otrzyma jeszcze definitywnej odpowiedzi, na którą liczy Marc. Pozyskiwanie diamentów to skomplikowany biznes, w który zaangażowana jest duża liczba spryciarzy, a kamienie niezależnie od tego, gdzie je znaleziono, mają prawie identyczny skład mineralny.

Pozostaje jeszcze jedna ekspertyza, której nie można było sfalszować. Ludzie, którzy próbowali wprowadzić krwawe diamenty na rynek, często zapominali o tym, że atomy wodoru albo izotopy tego pierwiastka osadzają się na kamieniach dzięki wodzie deszczowej wsiąkającej w glebę. Sama ich obecność co prawda nie wystarcza do udowodnienia, że kamień pochodzi z określonego rejonu, ale już chemiczny skład poszczególnych izotopów zdecydowanie tak. Skład wód opadowych na ziemi jest inny w różnych miejscach, a z tego powodu izotopy wodoru znajdujące się na diamentach również się od siebie różnią.

Lata badań – jej oraz innych gemmologów, specjalizujących się w diamentach – doprowadziły do powstania dokładnej mapy tych izotopów. W komputerze zgromadziła analizę składu wody deszczowej we wszystkich większych rejonach wydobywania diamentów, łącznie z Terytoriami Północno-Zachodnimi w Kanadzie. Liczyła na to, że dzięki izotopom udowodni niewinność Marca. Albo ją obali.

Miała nadzieję, że to pierwsze.

Zawsze uważała Bijoux za solidną firmę. W tym biznesie, który był wysoce niebezpieczny i zmonopolizowany przez firmy, które nie zważały na krew, terroryzm i pracę dzieci, firma Bijoux wyróżniała się pozytywnie. Od samego początku bracia prowadzili swój biznes uczciwie, starając się zrobić jak najmniej szkody i możliwie jak najwięcej dobrego.

Marc i Nic przywiązywali ogromną wagę do ochrony środowiska oraz spraw so-

cyjnych, dzięki czemu kopalnie Bijoux były najbezpieczniejsze na świecie zarówno pod względem ekologicznym, jak i bezpieczeństwa pracowników. Przez lata podczas wykładów stawiała Bijoux za przykład firmy w biznesie, w którym brakowało bohaterów. Kamienie szlachetne są piękne, ale dla większości firm wydobywanie i handel nimi nie ma wiele wspólnego ze szlachetnością.

Gdyby okazało się, że bracia Durandowie odstąpili od swoich szlachetnych zasad, by jeszcze bardziej wypchać swe kieszenie, zniszczyłoby to resztki jej i tak już słabnącego idealizmu.

Głównie z tą myślą Isa spędziła następne półtorej godziny, ślęcząc nad danymi, które pozyskała na temat kopalni związanych z Bijoux.

Wpatrywała się w izotopy wodoru, aż rozboleły ją oczy. Zapisywała w pamięci mineralny skład osadu wszystkich kopalń, od których Bijoux kupowała kamienie przez ostatnie osiemnaście miesięcy.

I modliła się, zdecydowanie zbyt żarliwie jak na ekspertkę, której w zasadzie powinno być to obojętne, żeby, gdy zacznie przeczesywać skarbiec, wszystko do siebie pasowało.

Bo jeśli nie... Cóż, to byłby cios nie tylko dla firmy Marca. To złamałoby mu serce. Bała się, że jeśli oskarżenia wobec Bijoux się potwierdzą, również jej serce dozna uszczerbku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Czy Isa już coś znalazła? - spytał Nic, gdy w poniedziałek po południu wpadł do gabinetu Marca.

- Jest tu zaledwie od trzech godzin. - Marc nie odrywał wzroku od ekranu komputera, gdzie przeglądał niekończący się strumień mejli. - Daj kobiecie szansę spokojnie popracować.

- Ależ daję, ale wiesz, że dochodzimy do ściany. Pozostało zaledwie kilka dni do tej nieszczęsnej publikacji. Chciałbym ich uprzedzić przed ostatecznym terminem, czyli do czwartku wieczorem.

- Uwierz mi, pragnę tego samego, ale nie możemy co pięć minut naciskać Isy. Ona już pracuje ponad siły. Wróciliśmy z Kanady rano i jest wykończona. Robi co w jej mocy.

- No, no! - Nic przestał na chwilę maszerować po pokoju i zerknął podejrzliwie na brata. - Od kiedy to stałeś się takim żarliwym obrońcą Isy Moreno?

Odkąd... Nie wiedział od kiedy.

- Jakie to ma znaczenie? Powinniśmy się martwić, czy znajdziemy zdrajcę, który przekazał fałszywą historię tej gazecie.

- Ja też się martwię, ale mimo mojego pozornie beztroskiego usposobienia potrafię się martwić o kilka rzeczy jednocześnie. - Nic uśmiechnął się szeroko. - A więc zaskocz mnie, braciszku. Co się dzieje między tobą a Isą?

- Między nami nic się nie dzieje! - warknął Marc, czując się niezręcznie z powodu kierunku, jaki przybrała rozmowa.

Ledwie pojmował fakt, że znów sypiał z Isą, a już na pewno nie potrzebował, by ktoś inny, zwłaszcza jego bystry młodszy brat, wtrącał się akurat teraz w ich związek.

- Jesteś tego pewien? Wydajesz się zbyt przewrażliwiony jak na mężczyznę, w którego życiu nic się nie dzieje. Ale właściwie może dlatego jesteś rozdrażniony?

- Nie jestem rozdrażniony! A jeśli nawet, to dlatego, że z niecierpliwością czekam na wiadomości od Isy. Wiem, że na taką pracę trzy godziny to mało, ale męczy mnie czekanie. A już na pewno nie lubię tej ciszy.

- Amen, braciszku. - Nic klapnął na fotel naprzeciwko biurka. Zanim Marc zdążył mrugnąć okiem, położył nogi na lśniącym drewnianym blacie i odchylił się na dwóch nóżkach bardzo drogiego antycznego fotela.

- Amen to powiemy, jak za chwilę się zabijesz. I nie połam fotela w drobny mak!

Nic przewrócił oczami.

- Za bardzo się denerwujesz.

- Jestem tu dyrektorem generalnym, to moja praca denerwować się za bardzo. - Marc chyba po raz dziesiąty zerknął na zegarek.

Przed bratem usiłował zachować spokój, ale wewnątrz aż kipiał. Wiedział, że żaden z jego kamieni nie był trefny. Wiedział, że pochodzą z kanadyjskich kopalni,

gdzie je wydobywano, chroniąc środowisko i sownie opłacając pracowników. Ale przecież nie może być spokojny, bo w jego firmie jest zdrajca podrzucający prasie wyssane z palca historie. Może nawet nie zawahał się podrzucić kilku krwawych diamentów, by potwierdzić swoją hipotezę?

Zrobiło mu się słabo na tę myśl. Poderwał się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Nic takim tonem, jakby chciał przekonać samego siebie. - A poza tym brak wiadomości to dobra wiadomość, prawda?

- Tak. - Mimo zdenerwowania Marc starał się rozsądnie myśleć. - Lisa jest z Isą w skarbcu. Na pewno da nam znać, gdy Isa znajdzie coś interesującego.

- Nie znajdzie niczego na potwierdzenie prawdziwości tego artykułu - odrzekł Nic z przekonaniem - bo nie ma nic do znalezienia. Czym się martwisz?

- Absolutnie niczym - odparł Marc.

W tym momencie Lisa zajrzała do gabinetu.

- Jakież nowe wieści? - zwróciła się do obu braci.

- Dlaczego nas o to pytasz? - zdziwił się Marc. - Przecież to ty od trzech godzin siedzisz w skarbcu z naszym ekspertem.

- Wyszłam stamtąd dwie godziny temu. Miałam umówione spotkanie, a zresztą Isa i tak jest pogrążona we własnym świecie.

- Spotkanie? Zostawiłaś Isę samą w skarbcu z diamentami z powodu jakiegoś spotkania?

Lisa wyraźnie się zmieszała.

- Jakiś problem? To standardowa procedura w przypadku ekspertów GIA, jeśli ktoś w ogóle można wierzyć. A poza tym w skarbcu jest pięćdziesiąt kamer plus bramki magnetyczne, które sprawdzają każdą wchodzącą i wychodzącą osobę. Nawet gdyby chciała coś ukraść, a to mało prawdopodobne, nie mogłaby.

Marc wiedział, że Lisa ma rację, wiedział, że zainstalował w skarbcu najlepszy system bezpieczeństwa, na który pozwalał nieograniczony budżet oraz lata doświadczenia w tym biznesie. Nie wspominając już o fakcie, że Isa nigdy niczego mu nie ukradła. Jej ojciec owszem, ale nie ona. Ani sześć lat temu, ani kiedykolwiek.

Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Nikiem. Jego brat był wielkim orędownikiem Isy w przeszłości i obecnie, a jednak on też sprawiał wrażenie zaniepokojonego na myśl o pozostawieniu Isy samej w skarbcu.

Marc szybko ruszył do drzwi.

- Co się stało? - spytała Lisa. - Dokąd idziesz?

- Nie przejmuj się nim - powiedział Nic. - Żyje w wielkim napięciu z powodu tej całej sprawy.

- Jak my wszyscy. Uważacie, że tu chodzi o waszą reputację, ale przecież o naszą też. Ręczę za każdy nasz diament. Doprowadza mnie do szału, że jakiś palant odważył się nas oskarżyć! W dodatku to tchórz, który knuje za naszymi plecami. Idzie do jakiegoś pismaka, żeby nas zdyskredytować!

Marc nie słyszał tej tyrady, ponieważ był już w połowie drogi do windy. Wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku, że płaci Isie ogromną sumę za tę ekspertyzę, byłaby więc idiotką, ryzykując pieniądze i opinię dla kradzieży kilku diamentów.

Przeklinał windę, że tak wolno zjeżdża. Wierzył w uczciwość Isy, wierzył, że nigdy

go nie okradnie. Do diabła, nawet wierzył, że odkąd go poznała, nigdy nikogo nie okradła; przez cały czas miała dostęp do kamieni GIA. A jednak jakiś cichy głos kazał mu się spieszyć.

Powinien być z nią w skarbcu. Choćby po to, żeby uchronić ją przed pokusą.

Większość złodziei klejnotów to amatorzy mocnych wrażeń – nie mogą przestać, nawet gdy zgromadzili dość pieniędzy na emeryturę.

Tak jak ojciec Isy. Facet był milionerem, w dodatku umierał na raka, ale nie mógł się powstrzymać przed kolejnym skokiem. Okradł narzeczonego swojej córki bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Do diabła, przez dłuższy czas Isa była taka sama. Gdy błagała go, by nie wsadzał Salvatorego do więzienia, przyznała, że kradnąc, czuła dreszczyk emocji. Dała sobie spokój dopiero, gdy stwierdziła, że uzależnia się od przyływu adrenaliny. Obawiała się, że wpadnie w nałóg.

A jeśli pokusa okaże się zbyt silna? Co się stanie, jeśli zechce wziąć jeden mały kamień choćby po to, by sprawdzić, czy nadal to potrafi? Po prostu dla kaprysu?

W którymś momencie podczas ostatnich dni, prawdopodobnie gdy zgodziła się mu pomóc, mimo że zachował się wobec niej skandalicznie, wszystko jej wybaczył. Wybaczył, że wybrała ojca, a jego wpędziła w tarapaty. W końcu to był jej ojciec, potrzebował jej bardziej niż Marc. Ale to, że zrozumiał motyw postępowania Isy, nie znaczy, że całkowicie jej zaufał. Owszem, przebaczył, ale zaufanie...

Nad tym ciągle pracował.

Jeśli jednak okaże się, że go okradła po tym wszystkim, co razem przeszli, wiedział, że drugi raz jej nie wybaczy. Do diabła, nie zdoła nawet na nią spojrzeć!

Może powinien być wdzięczny losowi za tę możliwość?

Drzwi widny wreszcie się rozsunęły. Marc wypadł na korytarz i pospieszył do głównego skarbcza. O mało nie stratował Victora, jednego z najbardziej doświadczonych pracowników, który w krótkim czasie awansował ze szlifierza na członka zarządu.

Victor uśmiechnął się i przywitał, ale Marc tylko skinął mu głową. Już był za rogiem, wpatrywał się w migające światelka oznaczające, że ktoś jest w środku, ale że system bezpieczeństwa, z wyjątkiem detektorów ruchu, pozostaje włączony.

Przesunął kartę magnetyczną, potem wstukał osobisty kod do skarbcza i czekał, aż otworzą się ciężkie stalowe drzwi. Trwało to zaledwie dwie sekundy, ale jemu wydawało się wiecznością.

Odepchnął z rozmachem drzwi i jak szalony wpadł do środka. Prawie zderzył się z prowizorycznym biurkiem, które ustawiła Isa przy wejściu. Znajdował się na nim laptop, mikroskop oraz szufladka z diamentami.

Isa uważnie studiowała pod mikroskopem jeden z diamentów. Gdy Marc wpadł jak burza, spojrzała na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku? – Odłożyła diament i wstała od stolika.

– Oczywiście, doskonale. – Cóż mógł powiedzieć? – Chciałem tylko sprawdzić, czy robisz postępy.

Roześmiała się, poklepując go po ramieniu.

– Wiem, jak się niepokoisz z powodu tego artykułu, ale niewiele można zdziałać w jedno popołudnie, a już szczególnie w tak wielkim skarbcu i z taką ilością kamieni. Jeśli dopisze mi szczęście, może zdołam przedstawić wam swoje wnioski w śro-

dę, ale bardziej prawdopodobne, że dopiero w czwartek. Pod warunkiem jednak, że przez cały czas będę tu pracować, a ktoś zastąpi mnie w GIA.

Nie dała po sobie znać, że się tym specjalnie przejmuje, ale jego nagle ogarnęło poczucie ogromnej winy. Za to, że choć przez sekundę mógł ją podejrzewać. Ona tu ciężko pracuje, by uratować mu skórę, a on podejrzewał ją o najgorsze. To nie było fair.

Żeby wybrnąć z niezręcznej sytuacji, zerknął na diamenty rozłożone na stole. Były to całkiem małe kamyki. Łatwe do zgubienia, łatwe do zbycia paserowi. Do diabła, nie mógł zapanować nad myślami.

- Potrzebujesz czegoś? - spytał z wystudiowaną obojętnością. - Mogę w czymś pomóc?

- Nie teraz. Jutro będę potrzebowała dostępu do laboratorium, ale na razie niczego mi nie brakuje. Wracaj do swojej roboty. Do zarządzania firmą. - Uśmiechnęła się żartobliwie.

- Wolałbym trochę ci potowarzyszyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu, na wypadek, gdyby nagle coś było ci potrzebne. Wyświadczasz nam ogromną przysługę i nie chciałbym, żebyś musiała czekać.

- Sprawdzam teraz numery seryjne i chyba będę to robić do końca dnia. Wątpię, żebym miała coś do zakomunikowania, chyba że znajdę kamień z niezgodnym numerem. - Położyła mu rękę na ramieniu i delikatnie uściśnęła, co uznał za gest wsparcia. - Miło, że to zaproponowałeś, ale teraz nic nie możesz dla mnie zrobić.

Nie podobał mu się sposób, w jaki zaakcentowała słowo „miło”, co zwiększyło jego czujność. Przyniósł sobie małe krzesło i usiadł na nim tuż koło biurka. Uśmiechnął się ze swobodą, której wcale nie odczuwał.

- Na wszelki wypadek zostanę - powiedział, wyciągając telefon i udając, że jest zajęty. - Mam wolne popołudnie, a więc jestem do usług.

Rzuciła mu osobliwe spojrzenie.

- Naprawdę zamierzasz tu tkwić przez całe popołudnie?

- Owszem. - Chociaż czuł się winny z powodu swojej podejrzliwości, nadal się nie ruszał.

Za bardzo stara się go pozbyć, a na dokładkę skoncentrowała się teraz na najmniejszych kamieniach w skarbcu. Nie mógł jej tego powiedzieć, ale nie był tak głupi, by zostawić ją samą, jak dziecko bez opieki w cukierni.

Isa zabrała się do pracy. Jej mina nadal wyrażała zdumienie, ale udawał, że tego nie widzi. Całe szczęście, że nie zauważyła, jak bardzo był zdenerwowany.

Marc zachowuje się dziwnie. Może nie jak wariat proszący się o kaftan bezpieczeństwa, ale zdecydowanie trochę nienormalnie. Zerknęła na niego kątem oka, gdy zakończyła badanie ostatniego diamentu z bieżącej partii i umieszczała go z powrotem w wykładanej niebieskim aksamitem szufladce.

Nie patrzył w jej stronę, właściwie traktował ją jak powietrze. Odkąd wszedł do skarbcza, nie wykonał żadnego ruchu, by jej dotknąć. Jakby nic ich nie łączyło.

Nie zareagował na aluzję, gdy użyła słowa „miło”. Czyżby chciał zapomnieć, że się z nią kochał?

Przepraszam, uprawiał seks, przypomniawszy sobie z lekką goryczą, gdy odnosiła

szufladkę na miejsce, by ją wsunąć w wąską szczelinę w ścianie poszatkowanej kolumna po kolumnie takimi samymi szufladkami.

Teraz pora na mniejsze kamienie gorszej jakości. Podeszła do drugiej kolumny na prawo, wyjęła drugą szufladkę od góry, a potem przyniosła na prowizoryczne biurko.

Marc nic nie powiedział, nawet nie oderwał wzroku od smartfonu, na którym przewijał wiadomości. To ją rozzłościło. Nie potrzebowała wiele uwagi, ale odrobina byłaby mile widziana. Jakiś uśmiech, kilka zdań rzuconych mimochodem, potwierdzenie, że spędzili razem cały weekend, pracując i kochając się.

Skończyło się na tym, że postawiła szufladkę na stole znacznie mocniej, niż zamierzała.

Trzask odbił się echem w pomieszczeniu.

Po raz pierwszy Marc spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak. Miło się pracuje.

Po raz drugi użyła tego słowa, choć miała świadomość, że zachowuje się niepoważnie. Naprawdę załazł jej za skórę. Choć wiedziała, że to jej wina, że mu na to pozwoliła, nic nie mogła na to poradzić. Gdyby chciał z nią spędzić tylko te dwie upojne noce, mógłby to powiedzieć, prawda? Nie miał z tym problemu, gdy za pierwszym razem wysliznął się z jej łóżka w sobotę rano. Dlaczego nie powiedział czegoś podobnego tego ranka, gdy wysadził ją pod domem?

Coś w rodzaju: „Miło było, ale skoro wykonujesz zlecenie dla Bijoux, myślę, że od tej pory poprzestaniemy na zawodowych kontaktach”.

Pewnie coś by mu odburknęła, uznając go za dupka. Zresztą i tak uważała go za dupka, a więc niczego nie zyskiwał, rozgrywając swoje gierki.

W milczeniu wróciła do pracy. Otworzyła szufladę i wyjęła diamenty wielkości około ćwierci karata. Były to najtańsze diamenty w skarbcu, pojedynczy był wart nie więcej jak sto dolarów.

- Mogę cię o coś zapytać?

Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że Marc uważnie jej się przygląda.

- Oczywiście - odparła. - Byłoby miło.

Jego zmrużone oczy przypominały szparki. Wiedziała, że przesadza z nadużywaniem tego przysłówka.

- Dlaczego zajmujesz się małymi brylantami? Nie powinnaś sprawdzać większych? Jeśli ktoś w Bijoux oszukuje z numerami serii i krajami pochodzenia, zarobiłby o wiele więcej na wprowadzaniu na rynek dużych okazów.

- Można by tak sądzić, ale z mojego doświadczenia wynika coś zupełnie przeciwnego. Duże brylanty przyciągają więcej uwagi, a więc trudniej jest ukryć oszustwo na dłuższą metę. Kamienie powyżej jednego karata podlegają bardzo szczegółowej analizie, zwłaszcza gdy są pierwszej lub drugiej klasy czystości. Każdy chce spojrzeć na kamień, który ma bardzo mało inkluzji. Natomiast na te drobne nie zwraca się większej uwagi. Nie są szczególnie efektowne ani bardzo wartościowe, a więc jubilerzy, eksperci czy klienci zazwyczaj nie przywiązują do nich wagi. Kto zadawałby sobie tyle trudu, żeby sfalszować papiery kamienia wartego zaledwie sto dolarów? Szczególnie że na każdym może zyskać tylko parę dolarów ekstra.

- Ktoś, kto fałszuje tysiące takich kamieni - odpowiedział.

- Albo raczej setki tysięcy. Wtedy robią się z tego naprawdę duże pieniądze.

- Jeśli komuś nie przeszkadza sprzedaż własnej duszy za bezcen.

Wyglądał na tak zniesmaczonego, że nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Myślę, że zapomniałeś o ludzkiej chciwości - skomentowała. - Nie wspominając o fundamentach, na których opiera się rynek diamentów.

Posłał jej pierwszy szczery uśmiech tego popołudnia.

- Teraz rozumiem, dlaczego koncentrujesz się na małych brylantach. Łatwiej jest podrzucić kilka podróbek niż kamieni znaczącej wielkości.

- Oczywiście. - Popatrzyła na niego bacznie. - Po co miałabym poświęcać im tyle czasu, jeśli drugą stronę skarbcza wypełniają dużo piękniejsze? Do których oczywiście dojdę, ale dopiero, kiedy skończę z tymi.

Wzruszył ramionami, uśmiechając się szeroko.

- Nie ma pośpiechu. Musimy być pewni pochodzenia wszystkich.

Zabójczy uśmiech, który jej posłał, przyjęła jedynie skinieniem głowy, czując się trochę jak Alicja wpadająca do króliczej nory.

Gdy wróciła do pracy, Marc już jej nie ignorował. Często podnosił głowę i się uśmiechał. Zaproponował, że napełni wodą butelkę, która stała zapomniana na rogu biurka. Odniosła wrażenie, że siedzi naprzeciwko innego mężczyzny niż przez ostatnią godzinę. Zachodziła w głowę nad jego schizofrenicznym zachowaniem.

Nie odzywali się do siebie, aż zapadł zmrok i wszyscy pracownicy opuścili biuro.

Badała półkaratowe brylanty i miała nadzieję, że przed wyjściem zdoła sprawdzić jeszcze jedną szufladkę. Ale gdy umieściła ostatni kamień pierwszej czystości z powrotem we właściwej szufladce, Marc niespodziewanie przykrył ręką jej dłoń. Zauważyła, że schował telefon, odsunął krzesło i pochylał się nad nią.

- Może na dzisiaj dosyć? - zagadnął.

Zerknęła na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że już minęła dziewiąta.

- Chciałam zrobić jeszcze jedną szufladkę. To nie powinno zabrać dużo...

- Wyglądasz na kompletnie wykończoną - odparł. - Praca poczeka do jutra.

Chciała zaprotestować, bo ma mało czasu, a roboty jeszcze huk, ale przecież Marc musi również odczuwać skutki trzech bezsennych nocy.

- Okej - zgodziła się.

Szybko spakowała laptop i zebrała resztę rzeczy.

Wyszli razem. Marc sprawdził jeszcze, że skarbiec jest zamknięty, alarmy i czujniki ruchu włączone.

- Co lubisz na wynos? - spytał, gdy zjechali na parking.

- Na wynos? - powtórzyła jak papuga, ponieważ kompletnie ją zaskoczył.

- Chodzi mi o jedzenie na wynos - wyjaśnił głębokim i rozbawionym głosem. - Pomyślałem, że kupimy coś do zjedzenia, zanim dojedziemy do ciebie.

- Do mnie? - powtórzyła.

Spojrzał na nią dziwnie, a uśmiech zamarł mu na ustach, gdy dotarło do niego, że Isa może mieć inne plany.

- Chyba że nie chcesz zjeść ze mną kolacji? - powiedział.

Zrozumiała, że robi aluzję do sobotniej nocy.

- Nie, nie. Będzie miło wziąć coś na wynos. - Tym razem wypowiedziała to słowo

bezwiednie.

- Co się z tobą dzieje? Ciągłe używasz dziś słowa „miło”.

Nagle się zaczerwieniła i opuściła głowę. Próbowwała wymyślić jakąś sensowną i wiarygodną odpowiedź.

Cisza się przedłużała, w końcu Marc uniósł jej podbródek tak, by spojrzała mu w oczy.

Milczeli jeszcze chwilę. Oczywiście pierwsza się złamała. Zawsze tak było z Marciem, ilekroć zadał jakieś niezręczne pytanie, nie okazywał zniecierpliwienia, ze stoickim spokojem czekał, aż ona zbierze się na odwagę i powie, co myśli.

- Ja tylko... - Urwała i pokręciła głową. - Musimy to roztrząsać?

Uniósł brwi w sposób, jaki zawsze doprowadzał ją do szaleństwa.

- Raczej tak.

- Tak podejrzewałam. - Westchnęła ciężko, przestępując z nogi na nogę. Wsunęła wolną rękę do kieszeni. Gorączkowo rozważała, co powiedzieć.

W końcu wypaliła całą prawdę.

- To ty napisałeś, że ostatniej nocy było „miło”.

Wyglądał na zakłopotanego.

- Kiedy?

- Przysłałeś mi rano esemesa. Napisałeś, że miło spędziłeś czas.

- Coś w tym złego?

- A jak ty byś się czuł, Marc? - Zażenowanie ustąpiło miejsca zniecierpliwieniu. - Spędzamy z sobą szaloną noc, a ja na odchodnym mówię ci, że było miło?

Długo się nie odzywał. Patrzył na nią, jakby postradała rozum. Może i tak było. Wiedziała jedynie, że nie chce, by oderwał rękę od jej twarzy, nie chce, by przestał jej dotykać. W tym tkwi problem. A przez cały czas obiecywała sobie, że znów się w nim nie zakocha!

- Mówisz poważnie, kochanie? - odezwał się wreszcie. Opuścił rękę, a ona wydała z siebie jęk ni to zawodu, ni prośby.

Natychmiast wziął ją w objęcia i przytulił.

- Byłem senny, nie mogłem zebrać myśli. Nie mogłabyś czasem facetowi trochę odpuścić?

Te słowa zabrzmiały rozsądnie, ale mimo to drażyła:

- Nie próbowałeś chyba mnie zlekceważyć? Odsunąć się ode mnie?

Pochylił głowę i wycisnął pocałunki na jej czole, policzkach i ustach.

- Czy masz wrażenie, że próbuję się od ciebie odsunąć?

- Nie. - Nagle znów poczuła się cudownie.

- Skoro doszliśmy do porozumienia, może powiesz mi w końcu, co mam przywieźć? Bo jestem zaproszony, prawda?

Uśmiechał się radośnie, a w jego oczach jaśniały figlarne błyski, gdy się z nią drażnił. Ale pod swobodną fasadą dostrzegała też niepewność. Jakby był trochę zmieszany, trochę przestraszony czy zdenerwowany tym, co się dzieje między nimi. Jakby czuł, podobnie jak ona, że ma dużo do stracenia.

Z zapartym tchem poszukiwała na jego twarzy oznak tych samych uczuć, które nią targały. Odnalazła je w zmarszczkach wokół oczu, w kącikach ust wykrzywionych w miękkim uśmiechu, w lekko drżącym dotyku jego ręki na swoim ramieniu.

W jakiś sposób świadomość, że on czuje się tak samo niepewnie jak ona, podniosła ją na duchu.

Kiedyś kochała Marca Duranda każdym uderzeniem swego serca, całą sobą. Utrata go prawie ją zabiła. Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie powtórzy tego błędu, a jednak, mimo wielokrotnych ostrzeżeń, znów się w nim zakochiwała. Była o to na siebie zła. Ale gdy patrzył na nią tak jak teraz – miękkim, słodkim i zakochanym wzrokiem – czuła się jak w niebie.

– Coś greckiego – powiedziała. – Jest taka knajpka dwie przecznice ode mnie. Ma-lutka, ale jedzenie mają pyszne.

– Wyślij mi adres, na pewno znajdę. – Raz jeszcze pocałował ją w usta, zanim otworzył dla niej drzwi samochodu. – Jedź ostrożnie.

Roześmiała się.

– Stary znajomy Marc.

– Lubiłaś go.

Miał rację. Lubiła go aż do chwili, gdy wyrzucił ją na bruk w środku nocy.

Nieproszone wspomnienia wróciły ukradkiem, potęgując jej niepokój. Och, nie może im teraz ulec, gdy Marc patrzy na nią z taką czułością, a ona roztapia się jak wosk pod tym spojrzeniem.

Zdecydowała się więc na półprawdę.

– Nadal go lubię. – Objęła go mocno za szyję i przycisnęła usta do ciemnego zarostu na jego szczęce.

Tym razem to jemu zapało dech, a serce przyspieszyło.

– Jedź już – powiedział po kolejnym pospiesznym pocałunku, który rozkołysał jej nerwy – zanim wezmę cię tu na parkingu na oczach moich ochroniarzy.

Nie za dobrze to chyba o niej świadczyło, ale ta propozycja nie zabrzmiała w jej uszach źle.

Jednak wsiadła do samochodu i pozwoliła mu zamknąć drzwi. Jadąc do domu, starała się nie myśleć o przyszłości. Po raz pierwszy w dorosłym życiu nie chciała myśleć o konsekwencjach swoich czynów. Ale przynajmniej popatrzy, zanim skoczy.

Modliła się, by wylądować na czterech łapach.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dwa dni później nadal szybowała w górę i opadała, nie widząc gruntu pod nogami.

To było cudowne i straszne zarazem, radosne i przerażające. Zwłaszcza że, jak się zdawało, Marc czuł się dokładnie tak samo.

Ostatniego wieczoru zaprosili Nica na kolację i spędzili dwie godziny, zaśmiewając się do rozpuku, nawet w obliczu groźby wiszącej nad ich głowami. Nic tryskał humorem. Zawsze taki był, ale zdążyła już o tym zapomnieć. Wymazała wiele z czasu spędzonego z Markiem. Pamięć bywała zbyt bolesna.

Teraz z wolna wracały wspomnienia tych wspaniałych dni, jakie przeżyli razem. Pamiętała, jak na różne sposoby potrafił ją rozśmieszyć i jakie ona stosowała sztuczki, by go odprężyć po stresującym dniu.

Dziś weszła do jego gabinetu z triumfalnym uśmiechem na ustach. Wreszcie zakończyła testy. Spędziła cały dzień na oglądaniu izotopów wodoru, aż znowu rozboleły ją oczy. Wykonała w pięć dni procedurę nadawania diamentom certyfikatów, która w normalnym trybie zabrałaby dużo więcej czasu, i czuła się kompletnie wyczerpana. Właściwie padała z nóg. Ale mniejsza z tym. Miała dla Marca i Nica dobre wiadomości. Nie znalazła w skarbcu niczego podejrzanego.

Asystent Marca, sympatyczny facet o imieniu Thomas, pomachał na jej widok.

- Wejdz. Czeka na ciebie przynajmniej od dwóch godzin.

Oczywiście. Był niezwykle skrupulatny. Dała mu nadzieję, że skończy około czwartej i jej telefon zabrzączał dokładnie minutę po. Chciał wiedzieć, czy to już koniec.

Ale pracowała jeszcze bite dwie godziny; przeprowadziła więcej testów, o wiele więcej niż standardowo. Chciała, by certyfikaty były jednoznaczne, by Marc się uspokoił, mając pewność, że w artykule „Los Angeles Timesa” nie ma odrobiny prawdy.

Ze względu na przeszłość była mu to winna.

Gdy stanęła w drzwiach, Marc, Nic i Hollister siedzieli razem wokół biurka. Na pozór rozmawiali swobodnie, ale wyczuwało się gęstą atmosferę.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią. Z uśmiechem podała Marcowi folder z dokumentami potwierdzającymi, że w zasobach Bijoux znajdują się wyłącznie diamenty z rejonów nieobjętych konfliktami. Wyśle mu swoją ekspertyzę również w wersji elektronicznej, ale w tej formie, choć nieco staroświeckiej, wydała jej się bardziej oficjalna i w pewnym sensie namacalna.

- Wszystko w porządku? - spytał, zerkając na pierwszą stronę. Na jego twarzy malowało się podniecenie.

- W jak najlepszym - odparła.

Nic poderwał się z fotela i wyrzucił w górę zaciśniętą pięść.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że to fałszywe źródło! - Pozwolił Marcowi jeszcze raz spojrzeć na dokumenty, po czym wyrwał mu folder z rąk i pomknął do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytał Marc.

- Zrobię kopię, a potem osobiście wkroczę do „LA Timesa” i wcisnę ją tym szakalom do gardła. Mam nadzieję, że się zadławią.

- Czuję się w obowiązku przestrzec cię przed takim działaniem - wtrącił się Hollister.

Ale ponieważ uśmiechał się szeroko, a Nic tylko przewrócił oczami i pokazał mu palec wskazujący, Isa zrozumiała, że to dobrze im znany rytuał.

Isa chciała usiąść w fotelu zwolnionym przez Nica, ale Marc porwał ją w ramiona i uniósł do góry. Śmiejąc się głośno, zakręcił nią wokół gabinetu.

- Chyba zostawię was samych, żebyście mogli świętować - rzekł Hollister. - Czekam na kopię raportu, z miejsca prześlę ją do redakcji „Los Angeles Timesa”.

- Przecież Nic ma się tym zająć - powiedziała Isa, gdy Marc postawił ją na podłodze.

- Wolę sam wszystkiego dopilnować - odparł Hollister, po czym opuścił gabinet.

- Musimy to uczcić - powiedział Marc, łapiąc Isę za rękę i przykładając ją do ust. - Chcę cię zabrać w jakieś fantastyczne miejsce. A potem szampan, czekolada i świątko księżycy.

Obsypał pocałunkami jej palce, po czym odwrócił rękę i powtórzył pocałunki na dłoni i nadgarstku.

Ten dotyk, delikatny jak szept, sprawił, że przeszył ją podniecający dreszcz. Wtuliła się w Marca. Pozwoliła, by słyszał jej urywany oddech i wyczuwał lekko drżące ręce.

Przepływało między nim pożądanie - gorące, nieokiełznane, wszechogarniające.

Ledwie zdążyli się od siebie oderwać, gdy w drzwiach stanęła Lisa, blada, z włosami w nieładzie.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała, bez zaproszenia wchodząc do gabinetu.

Na jej twarzy malowała się panika.

- Co się stało? - Marc poprowadził ją do fotela. - Dobrze się czujesz?

- Ja dobrze - odparła, kładąc tabletki na biurku. - Chodzi o skarbiec.

Isa poczuła ucisk w żołądku. Nagle serce w niej zamarło

- Co się stało?

Lisa otworzyła arkusz kalkulacyjny i stuknęła placem w ekran.

- Zginęło siedem niedużych diamentów o czystości pierwszego stopnia. To znaczy - wyjaśniła, przełykając łzy - że zostaliśmy obrabowani!

- Niemożliwe... - Marc starał się zachować spokój.

- To samo pomyślałam, kiedy dziś tam weszłam, żeby spakować diamenty przeznaczone do transportu, a ich nie znalazłam. Sprawdziłam dwa razy rejestr, przeszukałam wszystkie szufladki w pobliżu, na wszelki wypadek, gdyby zostały odłożone w niewłaściwe miejsce. Nawet przejrzałam nagrania z monitoringu, ale nic podejrzanego nie zauważyłam. W ciągu ostatnich trzech dni nie było w skarbcu nikogo nieupoważnionego.

- Trzy dni? Kiedy ostatnio widziałaś te diamenty?

- W sobotę. Zabezpieczałam je, kiedy wezwałeś mnie do gabinetu. Od tego czasu niczego nie sprawdzałam. Aż do dzisiaj nie miałam powodu. Nikt oprócz Isy go nie

niał.

Tracił zdolność jasnego myślenia z powodu podejrzeń i zalewającej go wściekłości. To nie może być prawda! Po prostu nie może... Isa nie zrobiłaby tego po raz drugi, zwłaszcza teraz, gdy doszli do porozumienia, gdy z wolna przeszłość odchodziła w niepamięć.

Owszem, z początku był podejrzliwy i nawet przesiadywał z nią w skarbcu, ale to mu przeszło. Nie zrobiłaby czegoś takiego, nie byłaby tak nieroztropna...

Przestrzegał się, by nie wysuwać pochopnych wniosków, nie pozwolić, by podejrzienia wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. A jednak nie mógł patrzeć na Isę, gdy dzwonił do ochrony z prośbą, by przesłano mu mejlem nagrania z kamer z ostatnich pięciu dni.

- Jak mogę ci pomóc? - spytała Isa, która zastygła przy jego biurku.

Nie odpowiedział. Nie wierzył ani swojemu głosowi, ani słowom, które wypłynęłyby z jego ust.

Zadzwoił do szefa ochrony i zażądał, by natychmiast stawił się w skarbcu. A potem złapał swój telefon oraz tablet, który przyniosła Lisa, i pędem ruszył do drzwi.

Winda podjechała błyskawicznie, zupełnie jakby maszyna wyczuła jego narastającą wściekłość. Marc wsiadł do windy, poczekał na Lisę, a kiedy również Isa podeszła, chcąc do nich dołączyć, rzucił krótko:

- Ty nie!

Zobaczył jeszcze jej oczy rozszerzone ze zdumienia i blade policzki, zanim drzwi windy się zasunęły.

Włączył wideo z kamer na tablecie i nawet wykonując rutynową procedurę otwierania skarbcza, nie spuszczał oczu z nagrania.

Przerwał dopiero, gdy pojawił się Bob.

- Zaginęło siedem diamentów pierwszej czystości - poinformował swego szefa ochrony, gwałtownym ruchem podsuwając mu tablet. - Jak to się mogło stać?

Przed wejściem do skarbcza sprawdził karty identyfikacyjne każdego, kto wchodził tu przez ostatnie dziewięćdziesiąt sześć godzin. Lisa miała rację, na liście nie znalazł nikogo podejrzanego. Oprócz kobiety, która spędziła minione trzy noce w jego łóżku.

Zablokował tę myśl. Skoncentrował się na bieżącym zadaniu.

- Chcę, żeby trzy pary oczu przyjrzały się nagraniu z każdej kamery w skarbcu - warknął do Boba. - Chcę wiedzieć, co działo się w tym pomieszczeniu w każdej sekundzie ostatnich dziewięćdziesięciu godzin. I we wszystkich innych pomieszczeniach na tym piętrze. W łazience, w holu, w tych cholernych windach, które tutaj docierają. Raport ma leżeć na moim biurku w ciągu czterech godzin. Poza tym - ciągnął, zaciskając zęby, by nie ryknąć jak zranione zwierzę - chcę wiedzieć, gdzie się podziały te cholerne diamenty! Jak wydostały się ze skarbcza, jak wydostały się z budynku! Gdzie, do cholery, są?

Bob był tak blady jak Isa, zanim drzwi windy zamknęły się przed nią. Dobrze mu tak. Pilnowanie bezpieczeństwa to, do diabła, jego obowiązek! Niech teraz wymyśli, jak z tego wybrnąć.

Cholera, to nie fair obwiniać Boba, szeptał jednak cichy wewnętrzny głos. W końcu on sam świadomie wprowadził lisa do kurnika! Do swojego skarbcza! Zaufał Isie,

choć przecież znał jej przeszłość. Nie, Bob nie jest temu winny. To wyłącznie jego wina.

Zaufał jej, chciał w nią uwierzyć, niezależnie od tego, kim był jej ojciec. Bez względu na to, czym parała się w przeszłości. Jezu! Sześć lat i niczego się nie nauczył. Zachował się jak frajer. Znow dał się oczarować jej rudym włosom, słodkim uśmiechom i czekoladowym oczom. Naiwniak!

Nie, to nawet nie naiwność, złościł się na siebie. Nie jest frajerem, tylko skończonym głupcem. Idiotą. Sam sobie na to zasłużył. Przeszłość niczego go nie nauczyła, a więc los dał mu srogą lekcję.

Ale tym razem się nauczy. Na zawsze. Isa już nigdy go nie oszuka.

Oстрыm tonem zaczął wydawać polecenia pracownikom, którzy zgromadzili się w skarbcu. Należy zinwentaryzować wszystkie szufladki. Tak czy owak, trzeba będzie przełknąć stratę tych diamentów, nie pójdzie z tym przecież do jakiegoś detektywa czy ubezpieczyciela. Mieliby ubaw po pachy.

Ale najpierw daliby mu nieźle w kość.

Oczywiście, jeśli zginęło tylko siedem kamieni. To nic wielkiego. Owszem, ładne kamienie, ale nie jakieś spektakularne klejnoty. Nie warto z ich powodu robić szumu wokół firmy.

Jakieś trzysta tysięcy w sprzedaży detalicznej. Sto tysięcy w wypadku sprzedaży paserowi. Na tyle Isa wyceniła jego miłość. Głupia dziewczyna. Gdyby z nim została, miałyby o wiele więcej. Omal się w niej nie zakochał na nowo... Mogła mieć wszystko, czego dusza zapagnie, ale zamiast odwzajemnić jego uczucie, zatroszczyć się o niego, zadała mu cios w plecy.

W żołądku go ścisnęło na tę myśl. Przez chwilę bał się, że zwymiotuje i skompromituje się na oczach pracowników. Opanował mdłości, zmusił ciało do normalnego funkcjonowania. Za wszelką cenę musi pogodzić się ze zdradą Isy. Im szybciej, tym lepiej.

Zrobił wszystko, co należało, wydał konieczne polecenia.

Minęły blisko trzy godziny, zanim wrócił do gabinetu. Trzy godziny, podczas których klatka po klatce oglądał nagrania wideo, a jego wściekłość rosła, gdy prawda stawała się coraz bardziej oczywista. W ciągu ostatnich czterech dni nie było w skarbcu nikogo, kto nie był tam setki razy przedtem. Nie było tam nikogo, kto nie pracowałby w jego firmie od co najmniej pięciu lat. Nikogo oprócz tej kobiety, która postanowiła raz jeszcze zrobić z niego idiotę.

Nie wiedział, co zastanie w swoim gabinecie. Był ciekaw, czy Isa opuściła budynek, czy może ma tyle tupetu, by na niego czekać. Właściwie nie wiedział, którą opcję woli.

Isa leżała zwinięta w kłębek na kanapie. Poderwała się na równe nogi i do niego podbiegła.

- Wiesz już, co się stało? - Oczy miała wielkie jak spodki. - Czy ochrona domyśla się, co stało się z diamentami? Jak zostały wyniesione albo...

Zamilkła, gdy uniósł rękę w stanowczym geście.

- Zapytam cię teraz, Iso, a potem nigdy więcej nie zadam żadnego pytania. Ukradłaś te diamenty?

- Nie, Marc. Nie! Oczywiście, że nie. Nigdy bym ci tego nie zrobiła. Nigdy bym nam tego nie zrobiła.

Wpatrywał się w nią przez kilka długich sekund, szukając na jej twarzy szczerości.

Potem skinął głową.

- Wyjdź.

- Mam wyjść? Ale...

- Musisz wyjść. W księgowości wystawią ci czek za pracę, którą dla mnie wykonałaś, a potem zabierz swoje manatki i opuść budynek. Na zawsze.

- Chyba nie myślisz, że...

- Mówię poważnie.

- Poważnie? Po sześciu latach wracamy do punktu wyjścia?

- Nie udawaj urażonej. W końcu to ty do tego doprowadziłaś.

- Nie, Marc. Tym razem to twoja wina. Nie ukradłam tych diamentów.

- Milcz! - Dał się ponieść wściekłości. - Przestań mnie okłamywać. Zniosę wszystko oprócz tego. Mogę znieść wiadomość, że mnie okradłaś, ale nie zniosę twoich kłamstw rzucanych mi prosto w oczy.

- Ja nie...

- Wynoś się! - krzyknął. - Zanim będę musiał wyprowadzić cię siłą. Wieczorem dostaniesz mejlem czek, ale teraz się wynoś. Natychmiast.

- Marc, proszę...

Obrócił się na pięcie.

- Idź do diabła, Iso, bo tym razem naprawdę wezwę policję.

Podszedł do barku, nalał sobie szkockiej i pociągnął spory łyk. Potem znów sobie nalał i wypił.

Gdy odwrócił się, przygotowany, że zobaczy ją po raz ostatni, okazało się, że zrobiła to, czego żądał.

Odeszła. Znów został sam.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Isa pobiegła prosto nad ocean. Nie wiedziała, co robić, nie wiedziała dokąd iść. Serce jej po prostu pękło i rozpadło się na kawałeczki. Znów.

Wpatrywała się we wzburzone wody i rozmyślała. Jak do tego doszło, że wróciła do tego samego punktu co przed laty? Powinna znowu zniknąć, wsiąść do samochodu i pojechać w nieznane. Tym razem na zawsze, nie oglądając się za siebie. Nigdy.

Z każdym krokiem, gdy stąpała po piasku, świadomość tego, co się przed chwilą stało, uderzała w nią jak morskie fale o brzeg. Raz po raz.

Marc myśli, że jest złodziejką, uważa, że po tym wszystkim, co wydarzyło się podczas ostatnich kilku dni, po tym, co wydarzyło się sześć lat temu, naprawdę zatoczyła koło i wróciła do przestępczego procederu!

Jakby to w ogóle było możliwe! Nie rozumiał, że ona po prostu nie potrafi go zranić!

On nie miał z tym problemu. Bez mrugnięcia okiem odwrócił się od niej wtedy i zrobił to ponownie. Cóż były warte słodkie słówka, które przez ostatnie dni i noce szeptał jej do ucha!

Na samo wspomnienie tych kilku skradzionych dni czuła się tak, jakby jej ciało miało się rozpaść na kawałki, jakby skóra miała pęknąć pod ciężarem smutku i żalu.

Instynktownie objęła się ramionami i szła wzdłuż linii, gdzie woda spotyka się z piaskiem, gdzie niekończące się fale pochłaniają kruchy brzeg.

Wyrzucała sobie błędy, a zwłaszcza nadzieję, na którą pozwoliła sobie wbrew zdrowemu rozsądkowi. Wiedziała, że nie powinna zaufać Marcowi po tym, co zaszło sześć lat temu. Co więcej, wiedziała, że on nigdy nie zdoła w pełni jej zaufać.

Bez względu na to, czego dokonała, jak zmieniła swoje życie albo jak starała się mu pomóc, on nigdy nie zapomni, kim była kiedyś. Nigdy nie dojrzy w niej kobiety, którą jest naprawdę.

Gorzka pigułka do przełknięcia, jakże bolesna, zwłaszcza że nigdy go nie okradła. Ani wtedy, ani teraz.

Ale sześć lat temu o tym myślała. Nie może udawać, że było inaczej.

Nie kradła dla pieniędzy, lecz dlatego, że potrzebowała dreszczyku emocji. Tamta Isa była uzależniona od adrenaliny. Kochała złodziejski fach bardziej niż cokolwiek na świecie. Oprócz ojca... a potem Marca.

Poznała go na dużym przyjęciu i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, gdy z uśmiechem podał jej kieliszek szampana, rzucając jakiś żart. Nadal pamiętała, co wtedy powiedział – prawdopodobnie do śmierci będzie to pamiętać. Od razu wiedziała, że to jeden z tych przełomowych momentów w życiu.

Gdy popatrzyła w jego szafirowe oczy lśniące rozbawieniem i pożądaniem, zapragnęła go lepiej poznać.

Porzuciła swoje ówczesne towarzystwo, jak również plan kradzieży sławnego klejnotu, który przyciągnął ją na to przyjęcie. Nie ma co kłamać: wyrzeczenie się

trzydziestopięciokaratowego rubinu otoczonego nieskazitelnymi brylantami przyszło jej z trudem. Ale zrezygnowała, chociaż bezcenny klejnot tam był i jakby czekał, by go zwędziła.

Tamtej nocy jednak pragnęła Marca bardziej niż czegokolwiek. Tak samo podczas sześciu miesięcy, które z nim spędziła.

Z dnia na dzień porzuciła dla niego wszystko, czym żyła dotychczas. Kradzieże cennych okazów biżuterii i pięknych obrazów były dla niej tak naturalne jak oddychanie. Brakowało jej tego, oczywiście, że tak. Ale Marc zastąpił jej cały świat.

Ojciec nigdy tego nie rozumiał, jego ekscytował wyłącznie następny skok. Przez pewien czas nawet uważał, że wykorzystywała znajomość z Markiem tylko po to, by zakraść się do jego skarbcza, gdzie w swoim czasie znajdowały się dwa sławne diamenty: „Słońce Północy”, nieskazitelny czterdziestokaratowy rosyjski brylant wart dziesiątki milionów i „Ogień nadziei” wielkości dwudziestu siedmiu karatów, cenny zarówno ze względu na swą burzliwą historię, jak i jakość.

Marc przygotowywał się wówczas do aukcji obu kamieni; zaplanowano spektakularną galę, w organizacji której mu pomagała. Dochód przeznaczono dla organizacji charytatywnych pomagających biednym dzieciom w rejonach świata, skąd sprowadzano kamienie szlachetne.

Gdy ojciec zrozumiał, że naprawdę zakochała się w Marcu i chce spędzić z nim uczciwie resztę życia, oskarżył ją, że się od niego odwróciła.

Owszem, odwróciła, ale nie od niego, tylko od życia, które jej proponował i wartości, które w niej zaszczepił.

Powinna się wówczas domyślić, jak to się skończy. Pod wieloma względami jej ojciec był jak dziecko, zachwycone zarówno samym pościgiem, jak i skradzionymi błyskotkami. A gdy wyznaczył sobie cel, tylko apokalipsa mogłaby go powstrzymać.

Dopiero później zdała sobie sprawę – była zbyt naiwna, by od razu to zrozumieć – że zakochując się w Marcu, wystawiła go na cel, że skupiła na nim i jego diamentach uwagę ojca.

Gdy okazało się, że diamenty zostały skradzione i całe życie Marca mogło leć w gruzach, wiedziała, kto za tym stoi. Kradła wraz z ojcem od dziewiątego roku życia i rozpoznawała robotę Salvatorego równie łatwo jak własną twarz w lustrze.

Wtedy popełniła drugi błąd. Nie podzieliła się swoją wiedzą z Markiem. Nie wyznała mu, kim jest i kim jest jej ojciec. Nie zaproponowała pomocy w odzyskaniu kamieni. Próbowwała jedynie przekonać ojca, by zwrócił Marcowi klejnoty. Oczywiście odmówił. W jego mniemaniu była to sprawa honoru. Marc Durand ukradł mu coś cennego, a więc odpłacił mu pięknym za nadobne.

Gdyby powiedziała Marcowi prawdę, nie dość, że wysłałby jej schorowanego ojca do więzienia, ale spojrzalby na nią z pogardą, nienawiścią i odrazą. Wtedy nie była w stanie tego zrobić. Nie była w stanie jednym posunięciem zniszczyć wszystkich swoich marzeń. Nawet jeśli, trwając przy nich, niszczyła Marca.

I być może dalej żyłaby w kłamstwie, gdyby sprawy nie potoczyły się dla Marca aż tak źle. Tygodniami obserwowała, jak jego życie zamienia się w koszmar. Towarzystwa ubezpieczeniowe odmawiały wypłaty odszkodowania, twierdząc, że kradzież jest mistyfikacją i oskarżając Marca o oszustwo. Że zrobił to wszystko dla pieniędzy oraz jakiegoś chorego rozgłosu.

Widziała, jak zżera go stres, jak marnieje w oczach. A gdy policja na żądanie ubezpieczyciela wszczęła przeciwko niemu i Nicowi śledztwo, zrozumiała, że nie może dłużej milczeć.

Namówiła w końcu ojca, by dał jej te diamenty, a potem podrzuciła je w siedzibie Bijoux w tak przemyślny i sprytny sposób, że nikt nie domyślił się, jak się z powrotem tam znalazły.

Wyprowadziła w pole towarzystwo ubezpieczeniowe, policję, zarząd firmy.

Tylko Marcowi wyznała prawdę. On zaś odwzajemnił ten wspaniałomyślny gest, wyrzucając ją na bruk.

Czego się spodziewała? Przecież tygodniami go okłamywała, gdy on przeżywał piekło. A jednak jakaś jej część wierzyła w szczęśliwe zakończenie. Ona kochała Marca całym sercem i wiedziała, że w żadnych okolicznościach by się go nie wyrzekała.

Teraz znów ją odepchnął. Nie uwierzył, że stała się innym, lepszym człowiekiem, że odmieniła swoje życie.

Gdy poznała Marca, zrezygnowała z kradzieży biżuterii, a śmierć ojca położyła kres wszystkiemu, co wiązało ją z dawnym życiem. Zerwała znajomości, zmieniła miejsce zamieszkania, nawet nazwisko. Postanowiła wykorzystać swoją wiedzę i doświadczenie dla dobra nauki.

Gdy samotnie szła po bezkresnej plaży, obserwując niebo powoli przybierające odcień atramentowej purpury, nagle zdała sobie sprawę, że dokonała tego nie tylko dla siebie, ale również po to, by zrobić wrażenie na Marcu. Chociaż nigdy go nie szukała, jakaś część jej duszy zawsze wierzyła, że gdyby wiedział, gdyby ją odnalazł, zaakceptowałby nową Isę i zapomniał o bólu i krzywdach z przeszłości.

Aż do dziś głęboko skrywała swoje nadzieje, ale teraz, gdy je sobie uświadomiła, ból w jej sercu stał się jeszcze dotkliwszy.

Marc nie wierzył w nową Isę. Nie wierzył w jej przemianę.

Szła dalej ze spuszczoną głową, chroniąc się przed zimnem. Nad wzburzonym oceanem zapadała ciemność, wiatr się wzmaczał, wichrzył jej włosy, smagał ciało pod cienką bluzką, wpełzał do środka, przenikał do kości.

A ona nadal szła. I patrząc na fale roztrzaskujące się o brzeg, widziała tylko jego. Z pociemniałymi oczami, pobladłą twarzą, rękami zaciśniętymi w pięści.

Nie powinna oddawać mu tej przysługi. Wszystko w niej krzyczało, że to zły pomysł, a jednak się zgodziła. Nie potrafiła mu odmówić, ponieważ nadal go kochała. Czy mogłaby powiedzieć nie, gdy jej potrzebował? Niechętnie się do tego przyznawała, jednak taka była prawda.

Ale Marc ponownie ją wyrzucił, z firmy i ze swego serca. Nakazał jej się wynosić obojętnym zimnym głosem, patrząc na nią bezlitosnym martwym wzrokiem.

Na to wspomnienie do jej oczu napłynęły łzy. Wmawiała sobie, że nie płacze, że to tylko wiatr...

Nie była beksą, na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, ile razy rozplakała się w dorosłym życiu, ale teraz, przygnieciona klęską, czuła udrękę nie do zniesienia.

Jak długo stała wpatrzona w bezkresny ocean?

Fale przyływu sięgały jej palców, stóp, wreszcie łydek. Gwiazdy migotały na czarnym niebie.

Z wolna łązy obsychały. Marc nigdy w nią nie uwierzy. Nawet jeśli znajdzie dowód, że nie ukradła diamentów, nadal jej nie zaufa. Musi porzucić resztki nadziei, której ciągle się trzymała, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Ale był to jednocześnie katalizator, którego potrzebowała, by ruszyć z miejsca, impet, który skłonił ją do podjęcia długiej drogi powrotnej do siedziby Bijoux – i swego samochodu.

A jeśli będzie płakała przez całą powrotną drogę... No cóż, nikt nie musi o tym wiedzieć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Marc zatrzymał swój personel w pracy do późnej nocy, próbując przeprowadzić śledztwo. Albo, ściślej mówiąc, próbując znaleźć dowód, że Isa ukradła diamenty. Nie zamierzał wnosić oskarżenia, po prostu chciał wiedzieć.

Nie, właściwie nie chciał. Musiał. Potrzebował potwierdzenia, że ma rację. Musi się dowiedzieć, czy ten wyraz twarzy Isy, gdy kazał jej się wynosić, był tak samo fałszywy jak czułe słówka, które szeptała do niego w łóżku.

Bo jeśli nie udawała... Nie mógł dopuścić myśli, że popełnił błąd. Jeśli zwątpienie zagości w jego sercu, nigdy nie przestanie go dręczyć. Tak bardzo chciał, by Isa była niewinna. Obawiał się nawet, że uwierzy w jej niewinność, nawet jeśli to nieprawda.

Albo przekona siebie, że ta kradzież jest bez znaczenia, bo to były małe diamenty, w gruncie rzeczy niezbyt wartościowe.

Osobiście przeglądał taśmy. Nic. Lisa i większość jego najbardziej zaufanych agentów ochrony również je przeglądali. Niczego nie zauważono. Kiedy i jak Isa to zrobiła?

A przede wszystkim: dlaczego? Spędzili z sobą trzy noce i czuł się z nią jak w niebie. Z łatwością się odnaleźli, jakby te sześć lat, które przeżył bez niej, w ogóle nie istniało. Jakby awantura w Nowym Jorku była jedynie nocnym koszmarem, a nie okropną prawdą, która przez lata budziła go w środku nocy.

Myśl, że już nigdy nie będzie trzymał Isy w ramionach, doprowadzała go do szału.

Powinien ją mocno potrząsnąć! Jak mogła to zrobić? Jak mogła przedłożyć satysfakcję z kradzieży ponad uczucia, które rodziły się między nimi?

Może na tym polega problem. Może tylko wyobrażał sobie, że poza namiętnością Isa żywi do niego jakieś uczucia. On się znów w niej zakochał, a ona go tylko wykorzystywała. Szukała sposobu, by się zemścić za to, jak potraktował ją przed laty.

To miałoby sens. Ale przecież tak ciężko pracowała przez ostatnie kilka dni, by mu pomóc, i tak żarliwie oddawała mu się w łóżku...

Te rozterki doprowadzały go do szaleństwa i do bólu, jakiego nie doświadczał od sześciu lat.

Wściekły i sfrustrowany wrócił do swojego gabinetu i po raz trzeci tej nocy włączył nagranie. Po raz kolejny oglądał klatka po klatce, jak skrupulatnie Isa pracowała w skarbcu.

Większość materiału była po prostu nudna, nic się nie działo. Isa oglądała diamenty pod mikroskopem, na trzy sposoby sprawdzała numery serii. Ale gdy się poruszała, gdy przechodziła przez skarbiec, by wyciągnąć nową szufladę albo odłożyć kolejną, gdy się przeciągała, przyglądał się jak zahipnotyzowany.

Szukał momentu kradzieży? Czy chciał zobaczyć, jak wsuwa diamenty do kieszeni i wynosi ze skarbcza? Do diabła, nie! Po prostu chciał jej się przyglądać!

Z lubością patrzył, jak się porusza, jak kołysze biodrami, jak puszyste włosy opa-

dają jej na ramiona, pieszczą piersi. Zaklął pod nosem, sięgając po myszkę; przewi-
nął kilka minut filmu do tyłu, obiecując sobie, że tym razem skupi się na istocie rze-
czy.

Nie minęła minuta, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zatrzymał film, czując się
jak dzieciak przyłapany na oglądaniu porno. Idiota!

Odsunął krzesło od biurka i podszedł do drzwi. Otworzył je z rozmachem.

Stał przed nim Bob z twarzą pobladłą z przerażenia. Nigdy nie widział swojego
szefa ochrony w takim stanie. Ze ściśniętym żołądkiem odsunął się na bok, by wpu-
ścić Boba.

- Co się stało?

- Mamy problem z nagraniem - odparł szef ochrony, okrążając biurko i zatrzymu-
jąc się przed ekranem laptopa. - Możesz wejść na pocztę?

- Jaki problem? - spytał Marc, błyskawicznie logując się i otwierając pierwszy
mejl z listy.

- Jest przerwa w nagraniu. - Bob kliknął na załącznik, a potem ze zniecierpliwie-
niem czekał, aż film się załaduje.

- Przerwa w czasie nagrywania?

- W skarbcu zostało odcięte zasilanie na około siedem minut.

- W której kamerze? - spytał Marc z rosnącym niepokojem.

- We wszystkich.

- Słucham?

Bob jeszcze bardziej zbladł.

- Nagrania ze wszystkich kamer w skarbcu i na zewnątrz mają siedmiominutową
przerwę.

- Nikt tego wcześniej nie zauważył? Gdzie, u diabła, była ochrona?

- Problem polega na tym, że kamery nie zostały wyłączone na siedem minut przed
kradzieżą. Nagranie zostało zapisane, a potem skasowane.

- A więc ponawiam pytanie: co robiła ochrona? - Marc niemal krzyczał, patrząc
na Boba z wściekłością. - Płacę ludziom za gapienie się w monitory przez dwadzie-
ścia cztery godziny na dobę!

- Próbujemy zrozumieć, jak to się mogło stać. Osobiście podejrzewam, że wklejo-
no fragment innego filmu w to miejsce. Nie ma bardziej sensownego wytłumacze-
nia.

- Ktoś włamał się do mojego systemu, jedyne w swoim rodzaju, w którym prze-
widziano wszystkie okoliczności, i przejął nad nim kontrolę? To chcesz mi powie-
dzieć?

- Zasadniczo tak.

- I nikt nic nie zauważył?

- Zauważyliśmy.

- Dopiero po kradzieży! - warknął Marc, a potem pochylił się, by spojrzeć na daty
na dole nagrania. - To się stało w poniedziałek? Jak się włamano?

- Nadal nad tym pracujemy.

- Postarajcie się bardziej! Zatrudnij przy tym Geoffreya i Maxa. Chcę znać odpo-
wiedź jeszcze dziś.

- Robimy, co w naszej mocy. To naprawę majstersztyk, robi wrażenie, a jeden

z moich chłopców nawet zauważył...

- Ja będę pod wrażeniem, gdy znajdziecie słaby punkt, który wykorzystano. Na razie widzę tylko niedbalstwo. - Z ponurą miną spojrzął na ekran. - W każdym elemencie waszej pracy.

Po tej reprimendzie Bob nie miał już wiele do powiedzenia.

Marc był wściekły, wprost kipiał. Złodziej włamał się do systemu! Niebywałe! Miał na liście płac dwóch najlepszych specjalistów od systemu bezpieczeństwa na świecie, a jakiś dupek zdołał go rozbroić!

Przez kolejne dni warczał i pohukiwał na pracowników, którzy starali się znaleźć dziurę w systemie.

Ale nie rozwiązano zagadki. Złodziej musiał być zarazem nie lada hakerem, ponieważ skutecznie zatarł za sobą ślady. Marc zachodził w głowę, czy na pewno zdarzyło się to pierwszy raz. Może tylko pierwszy raz włamywacz został przyłapany? Może okradał ich od jakiegoś czasu, zabierając co kilka miesięcy jakieś skromniejsze kamyki, starając się nie zwrócić na siebie uwagi?

Kompletną inwentaryzację przeprowadzano w skarbcu dwa razy w roku. A więc złodzieja przyłapano tylko przez przypadek...

Na samą tę myśl poczuł ucisk w żołądku, spocił się, a serce ruszyło do galopu. Skoro sprawca jest kimś z wewnątrz, a tak uważali ochroniarze i spece od bezpieczeństwa, a trwa to już od jakiegoś czasu, a więc... A więc to nie mogła być Isa!

Obwinił ją, wyrzucił, a ona jest niewinna!

Przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy ją oskarżył. Jak bardzo była zszokowana, zraniona, wręcz zdruzgotana. Jakby ziemia osunęła jej się spod nóg.

Wyrządził jej krzywdę. Tak samo jak sześć lat temu znów dopuścił, by złość, duma i nieufność wzięły górę. Dobrze, że tym razem pozwolił jej zabrać rzeczy. Ale nie czuł się z tego powodu ani odrobinę lepiej.

Zaklął i z impetem odsunął się od stołu w sali konferencyjnej, która stała się centrum zarządzania na czas kryzysu.

Nic, Bob, Geoffrey oraz pozostali zgromadzeni popatrzyli na niego z lękiem.

- Idźcie do domu - rzucił opryskliwie. - Wrócimy do tego jutro.

- Do domu? - powtórzył Geoffrey ze zdumieniem.

- Siedzimy tu praktycznie non stop. Idźcie do domu, prześpijcie się, trochę odprężcie. Wrócimy do sprawy rano. Postawcie dwóch dodatkowych strażników przed skarbcem, jednego przed wejściem, drugiego na piętrze. Skarbiec powinien być przez noc bezpieczny. Do zobaczenia o siódmej.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, odwrócił się i wyszedł. Miał coś ważnego do zrobienia. Był już całe dni, a nawet lata spóźniony.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Isę obudziło gwałtowne pukanie do drzwi. Rozespana nieporadnie sięgnęła po telefon na wypadek, gdyby musiała wezwać pomoc. Która to godzina? Kto, na Boga, stoi przed jej drzwiami o pierwszej w nocy?

Zarzuciła na siebie szlafrok i podreptała na korytarz. Zerknęła przez szybkę w drzwiach. Po drugiej stronie stał Marc. W przeciwieństwie do niej wyglądał nad wyraz świeżo, zważywszy okoliczności.

Ich spojrzenia spotkały się przez szkło. Na moment zahipnotyzował ją wyraz jego oczu. Szybko zreflektowała się i oderwała od niego wzrok, jednocześnie robiąc dwa kroki do tyłu. Nie chciała go widzieć, nie chciała z nim rozmawiać ani nawet na niego patrzeć.

Nie teraz, gdy rana w jej sercu była tak świeża. Gdy nawet oddychanie bolało.

Marc musiał odczytać jej intencje, bo ponownie załomotał w drzwi, a potem zawołał:

- Iso, otwórz! Chcę tylko porozmawiać. Proszę.

Cofnęła się głębiej, kręcąc głową. Nie mógł jej już widzieć.

- Do diabła, Iso, proszę!

Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Nie zniosłaby więcej oskarżeń ani pogardliwych spojrzeń, jakby była śmieciem. Albo, co gorsza, jakby to ona zraniła mu serce. Nie ukradła jego kamieni, ale z tego powodu nie czuła się ani trochę mniej winna. Była odpowiedzialna za wydarzenia sprzed sześciu lat.

- Iso! Przepraszam... - Po raz pierwszy głos mu się załamał. - Tak mi przykro. Proszę, wpuść mnie.

Rozpaczliwy ton jego głosu sprawiał jej niemal fizyczny ból.

- Odejdź, Marc - odezwała się, zanim zdążyła to przemyśleć. - To żadnemu z nas nie pomaga.

- Masz wszelkie prawo mnie nienawidzić, masz prawo być na mnie wściekła. Ale proszę, błagam cię, nie odrzucaj mnie.

Nie miała pojęcia, jak na to zareagować. Marc mówił inaczej niż mężczyzna, z którym rozmawiała w środę. Nie mogła znieść bólu w jego głosie ani błagalnego tonu. Zraniła go tak straszliwie, że nigdy już jej nie zaufa.

Wiedziona nagłym impulsem odsunęła zasuwę i otworzyła mu drzwi - jedynemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek kochała.

Jedynemu, jakiego kiedykolwiek zraniła.

- Przykro mi - powiedział w chwili, gdy stanęli twarzą w twarz. - Tak mi przykro.

- W porządku - odparła, odsuwając się na bok, by wpuścić go do środka. - Przypuszczam, że znalazłeś już złodzieja?

- Nie. - Pokręcił głową. - Jeszcze nie.

- Nie rozumiem... Jeśli nie wiesz, kto to zrobił, dlaczego tu jesteś?

- Bo wiem, że to nie ty. Zachowałem się jak idiota. Pozwoliłem, żeby zadawniiony

ból mnie zaślepił. Nie dostrzegłem kobiety, jaką się stałaś, kobiety, którą jesteś teraz.

Wpatrywała się w niego w osłupieniu. Słyszała słowa, ale ich nie pojmowała. Były tak dalekie od tych, których się spodziewała. Od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyli.

- Skąd wiesz, że to nie byłem ja?

- Wiem, bo cię znam.

- Znałeś mnie również trzy dni temu. Nie miało to jakoś znaczenia.

- Trzy dni temu byłem ślepy i uparty, byłem zbyt zajęty sobą i ukrywaniem własnych ran, żeby racjonalnie wszystko przemyśleć.

- Co przemyśleć?

- Wszystko. Pomysł, że mogłabyś okraść Bijoux, jest wręcz śmieszny. Nie wiem nawet, jak mógł zrodzić się w mojej głowie. Masz zbyt wyrafinowany gust, żeby połaszczyć się na jakieś tuzinkowe kamyki.

Czuła, że spada w otchłań. Po raz pierwszy złość wzięła w niej górę nad żalem.

- Przyszedłeś mi to zakomunikować? Że to nie mogłabym być ja, ponieważ złodziej nie wykazał się wystarczająco dobrym gustem?

- Nie! - Chwycił ją za łokcie i przyciągnął do siebie. Chciała mu się wyrwać, chciała się cofnąć, ale całe jej ciało tęskniło za jego dotykiem, za jego ciepłem. - Jestem tutaj, ponieważ popełniłem błąd. Wiem, że byś mnie nie okradła, nie zraniła-bys mnie w taki sposób. I chcę ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że ja tak cię zraniłem. Trzy dni temu i przed sześciu laty. Zachowałem się niewybaczalnie. Chroniłem wyłącznie siebie...

- Chronienie mnie to nie jest twoja sprawa.

- Bzdura! Kocham cię, Iso. Kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami. Wiem, że trudno ci uwierzyć, zważywszy moje postępowanie. Powiniennem cię chronić, opiekować się tobą, żeby dać ci do zrozumienia, jak jesteś dla mnie cenna. A ja wszystko zniszczyłem.

Wyglądał tak żałośnie, że serce jej się krajało.

- Nieprawda! - zaprotestowała. - To ja wyrzodziłam ci krzywdę!

- Byłaś młoda, rozdarta między dwoma mężczyznami, których kochałaś, a żaden z nich na ciebie nie zasługiwał. Przepraszam, Iso. Tak bardzo cię przepraszam.

Przyciągnął ją i dotknął czołem jej czoła.

- Nie zasługuję na ciebie. Nie zasługuję na twoje przebaczenie ani na twoją miłość. Ale cię pragnę, Iso. Tak bardzo cię pragnę.

Promyk nadziei zamigotał w jej sercu. Zarzuciła mu ramiona na szyję, wtuliła się w niego, choć jej ciałem wstrząsał szloch.

- Nie płacz, kochanie - wyszeptał, mocno ją przytulając. - Proszę, nie płacz. Jeśli dasz mi szansę, wszystko naprawię. Ja...

Pocałowała go z całą nagromadzoną namiętnością, miłością, strachem i przebaczeniem, które mieszały się w jej sercu.

Całowała go, całowała bez końca, a on odwzajemniał jej pocałunki. Minęło dużo czasu, zanim w końcu zaczerpnęli oddechu.

- Przepraszam - powtórzył Marc, patrząc jej w oczy. - Tak bardzo cię przepraszam.

- Ja też.

- Nie masz za co.

- Mam - odparła, obsypując znów pocałunkami jego zarośniętą szczękę. - Nie tylko ty popełniłeś błędy. Sześć lat temu zachowałam się niewybaczalnie. Nie mogę cię obwiniać, że pomyślałeś, że znów coś przeskrobałam.

- Jednak tego nie zrobiłaś. Nawet jeśli nigdy nie znajdziemy złodzieja...

- Och, znajdziemy go - oświadczyła. - Nie pozwolę, żeby jakiś palant okradał moją dziewczynę, którego kocham!

Marc roześmiał się głośno i mocniej ją przytulił.

- Zabrzmiało to bardzo ostro.

- Bo jestem ostra. - Pociągnęła go korytarzem w kierunku sypialni.

- Doprawdy? - Wygiął brwi w sposób, jaki zawsze doprowadzał ją do szaleństwa.

- Naprawdę. A rano wrócimy do Bijoux i zaczniemy śledztwo, kto ci to zrobił. Kto nam to zrobił. Razem.

- Razem. - Pochylił się i zaczął całować jej usta, czoło, oczy. - Podoba mi się to, co mówisz.

- Mnie też. - Mocno go przytuliła. - Kocham cię, Marc. Och, jakże cię kocham.

- Ja też cię kocham. Od dawna, i zawsze będę.

Te słowa roztopiły resztki lodu, który ścinał jej serce od tamtej pamiętnej nocy na Manhattanie. Gdy zaciągnęła go do swej sypialni, nie mogła przestać myśleć, że warto było cierpieć, by dożyć tej cudownej chwili. Oddałaby za nią wszystkie diamenty świata.

Marc był tego wart. Tak samo jak życie, które zbudują razem.

Tytuł oryginału: Claimed
Pierwsze wydanie: Harlequin Desire, 2015
Redaktor serii: Ewa Godycka
Korekta: Urszula Gołębiowska

© 2015 by Tracy L. Deebes-Elkenaney
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gorący Romans są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-2466-6

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Strona redakcyjna